

MAGAZYN

Wakacyjne remonty.
Zamiast w góry lub
nad morze - do sklepu
budowlanego
- Str. 20-21

Gen. Jarosław
Kraszewski: Defilada
pokazuje, że nie warto
nas atakować
- Str. 22-23

Telemagazyn
z programem tv
i zapowiedziami
najciekawszych
programów
w tygodniu



Nr ISSN 0137-9178
Nr indeksu 348-570



www.gs24.pl

Nr 188 (5946) | Nakład: 9.227 | Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

GŁOS

DZIENNIK POMORZA

SZCZECIŃSKI

79
lat

Piątek, 14.08.2026

Relaks

Krzyżówki
do kawy.
Nowości
w programie TV



Z naszych stron

Nie chcą zwirowni
w swojej wsi.
Mają poparcie
radnych Dobrej

Mieszkańcy Kościna i Dołuj oba-
wiają się planowanej zwirowni.
Władze gminy przekonują, że plan
ogólny zablokował eksploatację złóż
i kopalnia nie powstanie
- Str. 4

Z naszych stron

Szczecin chce
przejąć „Dar
Młodzieży”
i jednoczy siły

„Dar Młodzieży” może na stałe
zaczumować na Odrze. Prezydent
Piotr Krzystek oficjalnie poparł po-
mysł sprowadzenia słynnej fregaty
- Str. 6

Szczecin



Żagle 2026. Przed nami trzy dni zabawy

Ponad 30 żaglowców, koncerty znanych artystów, rejsy
po Odrze, strefy atrakcji i widowiskowy pokaz dronów
- tak zapowiada się żeglarskie święto w Szczecinie - Str. 6

FOT. SEIL SZCZECIN

MATERIAL INFORMACYJNY POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA S.A.

0011558563



15 SIERPNIA

Święto Wojska Polskiego

Dziękujemy za Waszą służbę!



POLECAMY

PONIEDZIAŁEK: Relacje z najważniejszych wydarzeń sportowych weekendu

14.08.2026

Piątek

Dziś imieniny obchodzą: Elżbieta, Maksymilian, Marceli
Telefon alarmowy: 112

Komentarz dnia



Beata Busz: Opłata audiowizualna zamiast abonamentu RTV - ale to wciąż haracz

Publicystka

W sieci gruchnęła wieść, że kontrolerzy Poczty Polskiej wyruszą w teren, by fotografować radia w autach i wlepić kary za brak abonamentu RTV. Bo jak powszechnie wiadomo, powszechnie go nie płacimy. Poczta już uspokoiła, że samo wykonanie zdjęcia radia przez szybę samochodu nie wystarczy do nałożenia kary. A ponadto w całym kraju jest zaledwie 30 kontrolerów, którzy już dawno mają ustalony swój grafik. Jednak nie zmienia to faktu, że problem abonamentu, a właściwie uchylania się od jego płacenia nadal pozostaje.

I tu warto wspomnieć, że w 2008 roku ówczesny premier Donald Tusk ogłosił, iż „abonament radiowo-telewizyjny jest archaicznym sposobem finansowania mediów publicznych, haraczem ściągającym z ludzi; dlatego rząd będzie zabiegał o poparcie prezydenta i opozycji dla jego zniesienia”. Jest 2026 rok i obecny premier Donald Tusk proponuje zastąpienie wciąż istniejącego abonamentu opłatą audiowizualną. Jak zwał, tak zwał, ale na moje to nadal jest haracz. Zmienia się tylko metoda jego ściągania. Zamiast wspomnianej garstki kontrolerów, do dyspozycji ma być rzesza urzędników, którzy potracą nam opłatę podczas rocznego rozliczania się z fiskusem.

Zapytałam sztuczną inteligencję - lubię ją czasem tak zaczepić - dlaczego musimy płacić abonament? A ta mi odpowiedziała, że „zebrane środki finansują misję publiczną radia i telewizji. Pieńiądze te pozwalają nadawcom publicznym na spełnianie funkcji informacyjnych, edukacyjnych i kulturalnych, niezależnych od komercyjnych reklam”. Hmm, tylko że reklamy w publicznej TV przerywają nawet „śniadaniówkę”. I co najistotniejsze, misja publiczna już dawno - w mniej lub bardziej finezyjny sposób - stała się polityczna...

AUTOPROMOCJA

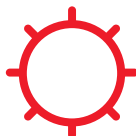
Prenumeruj
„Głos Pomorza”
„Głos Koszaliński”
„Głos Szczeciński”

tel. 94 340 11 14
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.gp24.pl

POGODA



dzisiaj
31°C/15°C



jutro
35°C/16°C



Redaktor naczelny
Jarosław Jaz
Z-cy redaktora naczelnego
Marcin Stefanowski, Wojciech Frelichowski, Ynona Husaim-Sobecka
Wydawca
Ynona Husaim-Sobecka, Jarosław Jaz, Wojciech Frelichowski, Marcin Stefanowski, Piotr Polechoński
www.gp24.pl
www.gk24.pl
www.gs24.pl

Polska Press Makroregion Pomorze
Redakcja Słupsk, ul. Henryka Pobożnego 19, tel. 59 848 81 00, redakcja.gp24@polskapress.pl; Koszalin, ul. Partyzantów 17, tel. 94 347 35 52, redakcja.gk24@polskapress.pl; Szczecin, Al. Niepodległości 26/U1, tel. 91 481 33 00, redakcja.gs24@polskapress.pl
Prezes Makroregionu Piotr Grabowski
Dyrektor reklamy Ewa Żelazko
Druk Polska Press Oddział Poligrafia, 85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229



Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biurowisko Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10



© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.gp24.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

WAKACJE 2026

Ceny w górach i nad morzem. Pod lupą schabowe, kebaby, zapiekanki i lody

Agnieszka Domka-Rybka

Każdego dnia media społecznościowe zalewają zdjęcia tzw. „paragonów grozy”, a internauci zastanawiają się, gdzie podczas wakacji zapłacić więcej za posiłek, nad morzem czy w górach.

Najnowsza analiza anonimowych danych z paragonów aplikacji PanParagon pokazuje jednak, że różnice między najpopularniejszymi kierunkami wakacyjnych wyjazdów są dziś znacznie mniejsze, niż mogłoby się wydawać.

Gałka lodów za 9 złotych?

Tak, w górach i nad morzem

PanParagon to darmowa aplikacja do przechowywania paragonów i wyszukiwania promocji. Co miesiąc użytkownicy dodają do niej średnio około 2 miliony dowodów zakupu. Dzięki temu możemy analizować ceny produktów i obserwować zmieniające się trendy konsumenckie. W związku z trwającym sezonem wakacyjnym postanowiliśmy przyjrzeć się kosztom jedzenia w popularnych miejscowościach górskich i nadmorskich. Do zestawienia wybraлиśmy typowe letnie przekąski, dania i napoje dostępne w obu regionach, co pozwoliło nam na wiarygodne porównanie cen - mówi Antonina Grzelak z aplikacji PanParagon.

Analiza pokazuje, że wakacyjne ceny w obu regionach są obecnie bardzo zbliżone. Łączna wartość analizowanego koszyka wyniosła 260,68 zł w górach i 265,00 zł nad morzem. To różnica zaledwie 4,32 zł, czyli 1,66 proc. W praktyce oznacza to, że wybór kierunku wakacyjnego wyjazdu ma dziś znacznie mniejsze znaczenie dla naszego portfela niż jeszcze kilka lat temu.

W przypadku wielu popularnych pozycji ceny okazały się prak-



FOT. KARINA TROJAK

Kebaby to jedno z najpopularniejszych, wakacyjnych dań. W górach zapłacimy 29 zł za sztukę, ale nad morzem mniej, bo 25 złotych

tycznie identyczne. Mediana ceny gałki lodów wynosi 9 zł zarówno nad morzem, jak i w górach. Tyle samo zapłacimy również za schabowego z dodatkami (40 zł). Symboliczne różnice, liczone w groszach, odnotowano także przy rosole czy hot dogu. Niewiele droższe nad morzem okazały się pizza margherita, kawa latte czy placki ziemniaczane.

Największą różnicę odnotowano w przypadku naleśników z serem. Nad morzem mediana ceny tej potrawy wyniosła 25 zł, podczas gdy w górach było to 19,30 zł. Oznacza to różnicę blisko 30 proc. Z kolei w górskich miejscowościach wyraźnie więcej zapłacimy za kebaba oraz czarną kawę.

Choć ceny poszczególnych produktów nadal potrafią się różnić, całociowo rachunki za jedzenie nad morzem i w górach są dziś bardzo zbliżone.

Ostateczny koszt zależy przede wszystkim od tego, co zamawiamy i w jakiej restauracji, a nie od tego, czy wakacje spędzamy nad Bałtykiem czy na górskich szlakach - podsumowuje Antonina Grzelak.

Oto szczegóły z koszyka. Kotlet schabowy, zarówno w górach jak

i nad morzem kosztuje 40 zł, pizza Matgherita - 30 zł w górach i 32 zł nad morzem, placki ziemniaczane - 32 zł i 33 zł, kebab - 28 zł i 25 zł, naleśniki z serem - 19,30 i 25 zł, zapiekanka - 23,60 zł i 24 zł, rosol - 17,99 zł i 18 zł, kawa latte - 19 i 20 zł, kawa czarna - 13,90 i 12 zł, gałka lodu - tyle samo: 9 zł, duże frytki - 12,90 i 13 zł oraz duży hot dog - 14,99 i 15 zł.

Czyli, razem w górach za cały ten zestaw zapłacimy 260,68 zł, a nad morzem 265 zł (niewielka różnica).

Ile w tym roku wydamy na wakacje?

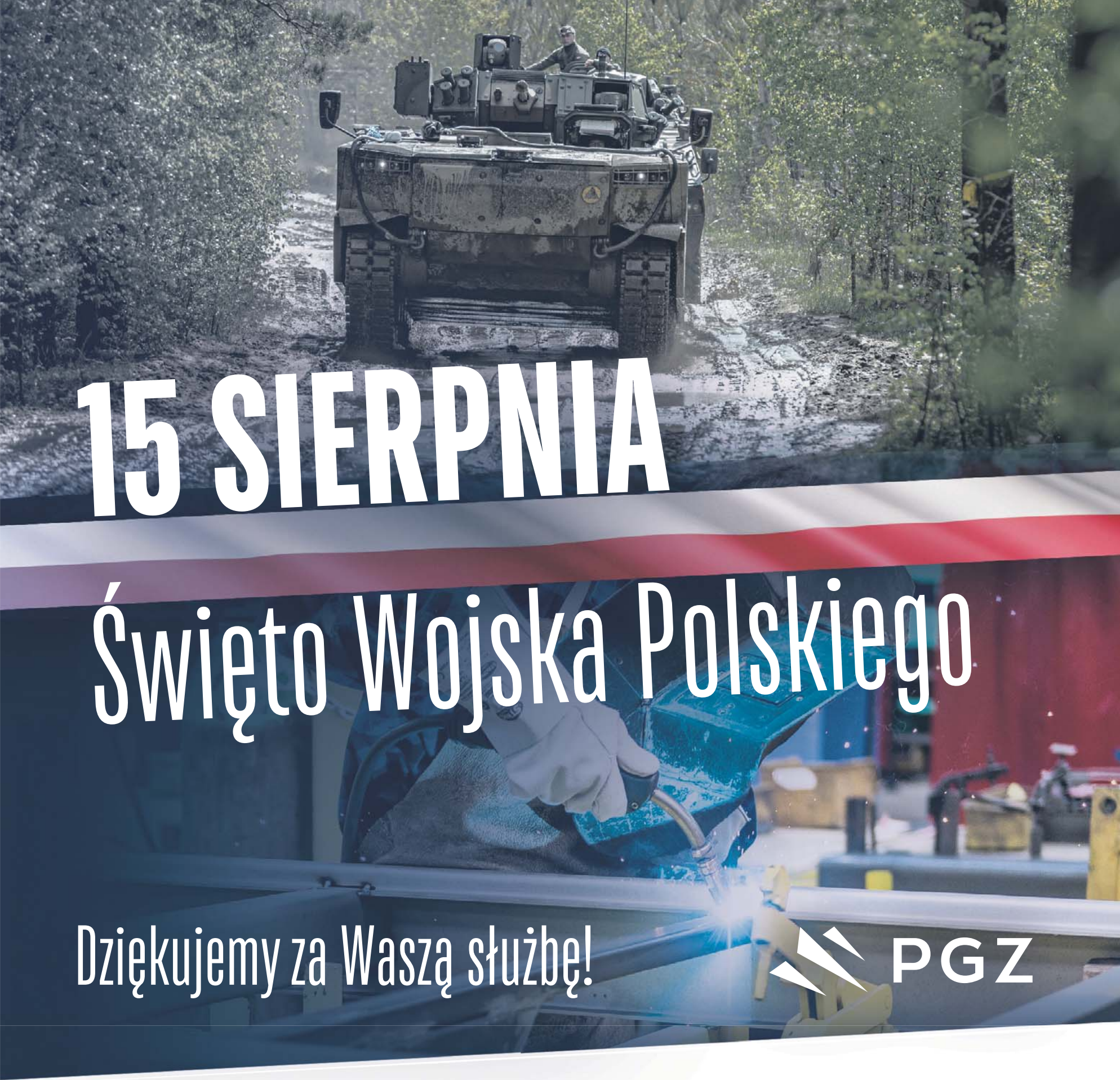
Wydamy 2024 zł na osobę - wynika z raportu „Wakacyjny Portfel Polaków 2026”, opracowanego przez Związek Banków Polskich. Waka-cje będą droższe, bo rok temu to było 1761 zł (o 281 zł mniej).

Przeciętne gospodarstwo domowe planuje przeznaczyć 5105 zł, tzn. o ponad 700 zł więcej niż rok temu - to wzrost o 16 proc. Aż 80 proc. nie planuje na wakacje wziąć kredytu czy pożyczki. To, zdaniem autorów raportu, ważny sygnał, pokazujący utrzymującą się wysoką świadomość finansową gospodarstw domowych.

©©

MATERIAŁ INFORMACYJNY POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA S.A.

0011558559



15 SIERPNIA

Święto Wojska Polskiego

Dziękujemy za Waszą służbę!



REGION

• Dyżur reportera

Marek Jaszczczyński, tel. 601 742 819 (w godz. 10-14)

DOBRA/PROTEST PRZECIW KOPALNI ŻWIURU

„Ta zwirownia nie może powstać”. Gorąca dyskusja

Mieszkańcy Kościna i Dołuj obawiają się planowanej zwirowni i pytają radnych, czy mogą liczyć na ich zdecydowane stanowisko przeciwko inwestycji. Władze gminy przekonują, że planu ogólny zablokował eksploatację złóż.

Marek Jaszczczyński

Sprawa planowanej zwirowni w Kościnie od kilku tygodni budzi ogromne emocje wśród mieszkańców. Przedstawiciele Dołuj i Kościna pojawili się wczoraj na sesji Rady Gminy Dobra, domagając się jasnych deklaracji ze strony samorządowców.

- Przekonywani jesteśmy, że urobek zwirowni ma być tylko przeznaczony pod budowę Zachodniego Obejścia Szczecina. Natomiast zasobność tej zwirowni to 13 milionów ton żwiru. Zapotrzebowanie na budowę obwodnicy to około 6 milionów ton. Co z pozostałymi 7 milionami? - pytał Andrzej Schwichtenberg, sołtys Dołuj.

Według wcześniejszych informacji inwestora eksploatacja złoża ma być związana przede wszystkim z budową Zachodniej Obwodnicy Szczecina. Spółka CT Szczecin deklarowała w rozmowie z naszą redakcją, że nie bierze pod uwagę wycofania wniosku.

Sołtys wyliczał zagrożenia, jakie w ocenie mieszkańców może przynieść inwestycja.

- Dla nas zwirownia oznacza przede wszystkim hałas przez całą dobę związany z wydobywaniem urobku oraz transportem, zapylenie i zanieczyszczenie powietrza, degradację dróg, zagrożenie bezpieczeństwa mieszkańców, trwałą i nieodwracalną zmianę w środowisku, spadek wartości nieruchomości - mówił.



Mieszkańcy uczestniczyli w sesji Rady Gminy Dobra

Mieszkańcy obawiają się również naruszenia stosunków wodnych i zagrożenia dla ujęć, z których korzystają m.in. Dołuje, Skarbimierzycy i Bobolin.

Szczególne emocje budzi sąsiedztwo planowanej zwirowni z dawnym składowiskiem odpadów przemysłowych. Schwichtenberg mówił o około 200 tys. metrów sześciennych odpadów oraz wskazywał na przekroczenia stężeń metali ciężkich.

- Wysypisko śmieci i zwirownia to jest kolejne zagrożenie, ponieważ wydobycie tego żwiru będzie zniszczeniem filtra, który zatrzy-

muje zanieczyszczenia znajdujące się w wodzie - przekonywał.

Honorata Nekanda-Trepka, jedna z mieszkanki Dołuj, zwróciła się bezpośrednio do radnych.

- Chciałabym zapytać każdego z państwa, po jakiej stronie opowie się względem powstania zwirowni, ponieważ my, jako mieszkańcy, jesteśmy bardzo, ale to bardzo zaniepokojeni - mówiła.

Władze gminy przekonywały, że po uchwaleniu planu ogólnego sytuacja prawna jest dla mieszkańców korzystna.

Prawnik gminy wskazał działki nr 13 oraz 15/2 w obrębie Kościna, na których znajduje się złożo. Jak wyjaśnił, zostały one objęte strefą otwartą.

- Absolutnie z tego zapisu wynika jednoznacznie, że nie może tam powstać zwirownia. Żeby zwirownia, powstała, to ten teren musiałby być w strefie górniczej, a jest w strefie otwartej - tłumaczył mecenas.

Podobnie ma być w przypadku drugiej działki.

- Nie można wydać decyzji o warunkach zabudowy, która przewidywałaby zwirownię. Nie można też uchwalić planu miejscowego, który by zakładał utworzenie zwirowni. (...) Prawnie jest niemożliwe na tę chwilę utworzenie zwirowni w Kościnie - podkreślił.

Podczas sesji padło pytanie o wcześniejszy wniosek inwestora o warunki zabudowy. Prawnik wyjaśnił, że został on pozostawiony bez rozpoznania i obecnie formalnie nie ma takiego wniosku.

Podczas sesji pojawił się również temat projektu uchwały złożonego przez czterech radnych. Dotyczy on sporządzenia miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego dla siedmiu działek.

Wnioskodawcy przekonywali, że chcą w ten sposób dodatkowo zabezpieczyć teren przed zwirownią. Władze gminy i prawnik wskazywali jednak, że od grudnia 2024 roku procedowany jest już miejscowy plan obejmujący ten teren.

- Jeżeli państwu zależy na czasie, to najszybszym i najlepszym prawnie rozwiązaniem jest dalsze

procedowanie tej uchwały z 19 grudnia - tłumaczył prawnik.

Radny będący wnioskodawcą projektu odpowiadał, że jego obawy wynikają z tempa prac nad miejscowym planem.

- Nam zależy na tym, żeby to zostało jak najszybciej przepracowane. Nie mamy czasu, żeby czekać sobie do przyszłego roku - argumentował.

Mimo że plan ogólny wyklucza obecnie możliwość powstania zwirowni, nadal prowadzone jest postępowanie dotyczące decyzji o środowiskowych uwarunkowaniach.

Agata Bystrzak, kierownik wydziału środowiska, poinformowała, że dokumentacja została przekazana do Wód Polskich, RDOŚ w Szczecinie oraz sanepidu w Policach.

Organy mają 30 dni na przedstawienie swoich stanowisk. Mogą również wezwać inwestora do uzupełnienia raportu środowiskowego.

Jednocześnie do 31 sierpnia trwają konsultacje społeczne. Mieszkańcy mogą zapoznawać się z raportem i składać do niego merytoryczne uwagi. - Jeżeli państwo przedstawicie jakiegokolwiek badania, opinie i innego rodzaju dokumenty potwierdzone, wykonane przez specjalistów, które będą podważały to, co jest w raporcie, my jak najbardziej możemy to rozpatrzyć - mówiła Bystrzak.

PROCES/ ZGINĘŁY TRZY OSOBY

Sąd nie wyklucza, że oskarżony odpowie za śmiertelny wypadek, a nie zabójstwo

Mariusz Parkitny

Patryk F., który śmiertelnie potrafił trzyposobową rodzinę w Międzyzdrojach odpowiada za zabójstwo. Sąd ma wątpliwości, czy to właściwa kwalifikacja i nie wyklucza jej złagodzenia.

Proces powoli zbliża się do końca. Na ostatnią rozprawę nie stawiał się

świadek. Sąd ukarał go grzywną. Jeśli zjawi się na kolejnej wokandzie, proces może się zakończyć, bo żadna ze stron nie zgłosiła nowych wniosków dowodowych.

Sąd ujawnił, że rozważa zmianę kwalifikacji czynu z zabójstwa na wypadek ze skutkiem śmiertelnym (20 lat więzienia). Prokuratura stoi na stanowisku, że zachowanie kierowcy było zabójstwem z zamiarem ewentualnym. Oznacza to, że - zdaniem

oskarżyciela - przewidywał możliwość zabicia pieszych i godził się na taki skutek. Grozi za to dożywocie.

Do wypadku doszło 23 grudnia 2023 roku około godziny 18 przy ulicy Dąbrówki w Międzyzdrojach. Samochód prowadzony przez Patryka F. wjechał w czteroosobową rodzinę idącą chodnikiem. Na miejscu zginęli 44-letni mężczyzna, jego 43-letnia żona oraz ich siedmioletni syn. Dwunastoletnia córka małżeństwa

została ranna i trafiła do szpitala. Kierowca uciekł, ale po dwóch godzinach został zatrzymany.

Według ustaleń prokuratury Patryk F. jechał wąskimi ulicami miasta z prędkością dochodzącą do około 130 kilometrów na godzinę. Wjeżdżając w ulicę Dąbrówki, miał dostrzec rodzinę, a następnie zamknąć oczy i gwałtownie hamować. Samochód zjechał na drugą stronę jezdni i uderzył w pieszych. Śledczy twierdzą, że oskarżony nie wykonał manewru pozwalającego ominąć ludzi.

Badania wykazały obecność środka odurzającego w organizmie kierowcy. Miał je także w aucie. Proces rozpoczął się 27 maja 2026 roku.

Patryk F. przyznał, że prowadził samochód, ale nie przyznał się do zabójstwa. Przed sądem przeprosił bliskich ofiar i przekonywał, że nie zamierzał skrzywdzić rodziny.

- Nie chciałem, by ktoś został poszkodowany - mówił oskarżony.

Według przedstawionej przez niego wersji wydarzeń miała to być nieudana próba samobójcza. Patryk F. twierdził, że chciał rozpędzić samochód i uderzyć w drzewo. Opoowiadał o kryzysie psychicznym, uzależnieniu od narkotyków, halucynacjach oraz głosie, który miał słyszeć podczas jazdy. Utrzymywał, że nie zauważył znajdujących się na chodniku pieszych.

AKCJA CHARYTATYWNA

0311545624



SZCZECIN

Żagle 2026 w komunikacji miejskiej. Objazd tramwaju i dodatkowa linia autobusowa

Marek Jaszczyński

Pasażerów czekają zmiany w funkcjonowaniu komunikacji miejskiej. Dotyczą one przede wszystkim tramwajów linii 6, a także autobusów kursujących w rejonie centrum.

Tramwaje linii 6 w obu kierunkach jadą objazdem. Od przystanku „Wyszynskiego” skierują się przez ul. Wyszynskiego, Bramę Portową, al. Niepodległości, pl. Żołnierza Polskiego, pl. Hołdu Pruskiego, ul. Matejki, Malczewskiego, Parkową i Dubois do przystanku „Dubois”, a następnie wracają na swoją trasę.

Na trasie objazdu tramwaje zatrzymują się m.in. na przystankach „Parkowa”, „Matejki”, „Filharmonia”, „Plac Żołnierza Polskiego”, „Brama Portowa” i „Wyszynskiego”. W zespole przystankowym „Wyszynskiego” w kierunku Gocławia tramwaj zatrzyma się dwukrotnie.

Nieczynne są natomiast przystanki „Teatr Polski”, „Wały Chrobrego”, „Bulwar Piastowski” oraz wybrany przystanek „Wyszynskiego”. Obowiązują specjalne rozkłady jazdy. W dni świąteczne specjalny rozkład obejmuje również kursy linii 3. Z kolei kursy dojazdowe i zjazdowe linii 8 między zajezdnią Gołecina a Gumieńcami będą prowadzone przez pl. Rodła.

Dziś 14 sierpnia, od godz. 18 zmienia się także trasy autobusów linii 61



„Szóstka” kursuje objazdem przez Matejki do Bramy Portowej

i 87. Między przystankami „SKM Dworzec Główny (Owocowa)” i „Plac Zwycięstwa” pojadą przez Nabrzeże Wieleckie i ul. Wyszynskiego. Nie będą obsługiwać przystanków „Plac Tobrucki” oraz „Brama Portowa” przy Posejdonie.

Od godz. 18 przystanek „Hangarowa” dla tramwajów linii 2, 7 i 8 przestanie być przystankiem, „na żądanie” i będzie obsługiwany jako stały.

Na wieczór zaplanowano również dodatkową linię autobusową 859. Połączy ona pl. Rodła z Szosą Polską. Autobusy będą kursować od godz. 21 do 23 co 20 minut. Na odinku od pl. Rodła do Zagórskiego pojadą trasą linii 107, a następnie do pętli „Szosa Polska”.

Marek Jaszczyński

„Dar Młodzieży” po zakończeniu służby może na stałe zacumować w Szczecinie. Prezydent Piotr Krzystek oficjalnie poparł pomysł sprowadzenia słynnej fregaty nad Odrę. Miasto chce współpracować w tej sprawie z mrszałkiem, wojewodą i Ministerstwem Infrastruktury.

Pomysł, który jeszcze kilka miesięcy temu był przede wszystkim inicjatywą szczecińskiego środowiska morskiego, zyskał właśnie poparcie władz miasta. Piotr Krzystek zadeklarował, że Szczecin chce pozyskać „Dar Młodzieży” po zakończeniu jego służby.

- Deklaruję zaangażowanie władz miasta w proces pozyskania Daru Młodzieży i współpracę z samorządem województwa, wojewodą, Ministerstwem Infrastruktury oraz przedstawicielami środowiska morskiego w celu pozyskania do Szczecina Daru Młodzieży jako jednostki zacumowanej przy szczecińskich nabrzeżach w formule stacjonarnej, czyli okręt-muzeum - mówi Piotr Krzystek.

To nie koniec deklaracji. - Szczecin jest również gotowy partycypować w kosztach utrzymania żaglowca, gdy ten już zacumuje w mieście - dodaje prezydent.

Poparcie dla pomysłu deklaruje również wojewoda zachodniopomorski Adam Rudawski.

- Dar Młodzieży mógłby być piękną wizytówką Szczecina i godnie prezentować się na tle gmachu Urzędu Wojewódzkiego. Całym sercem kibicuję panu prezydentowi w jego działaniach, aby pozyskać ten legendarny żaglowiec dla stolicy Zachodniopomorskiego. Decyzja należy jednak do władz Uniwersytetu Morskiego w Gdyni, który jest armatorem jednostki - mówi Adam Rudawski.

Pomysł ma także mocne poparcie wśród osób od lat związanych ze szczecińskim środowiskiem morskim. Krystyna Pohl, dziennikarka i autorka książek o historii morza i Pomorza Zachodniego, w rozmowie z nami przekonywała, że Szczecin ma pełne prawo zabiegać o fregatę.

- Co prawda jego armatorem jest Uniwersytet Morski w Gdyni, ale „Dar Młodzieży” od początku był budowany dla dwóch uczelni - Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni i Wyższej Szkoły Morskiej w Szczecinie. Takie były założenia i umowy. Co więcej, pieniądze na jego budowę

zbierano zarówno w Gdyni, jak i w Szczecinie. Mieszkańcy Szczecina i całego naszego województwa bardzo mocno przyczynili się finansowo do powstania tej jednostki - mówiła Krystyna Pohl.



Finał TTSR w 2013 roku. „Dar Młodzieży” cumuje w Szczecinie

Jej zdaniem związki Szczecina z fregatą są znacznie silniejsze, niż mogłoby się wydawać.

- W ciągu czterech dekad był u nas ponad czterdzieści razy i zawsze cieszył się ogromnym zainteresowaniem. To jedyny żaglowiec, który otrzymał tytuł Honorowego Ambasadora Szczecina. Miasto ufundowało mu również żagle z herbem Szczecina. Za każdym razem, gdy przyplływa, dzieje się wokół niego coś wyjątkowego - podkreśla Pohl.

Pytana o miejsce, w którym fregata mogłaby w przyszłości na stałe zacumować, wskazała nabrzeże przed Morskim Centrum Nauki.

- Uważam, że on jeszcze może pływać. To nie jest stary żaglowiec. Może odbywać rejsy komercyjne, zarabiać na siebie i nadal służyć ludziom. Natomiast jeśli już miałby na stałe cumować w Szczecinie, to idealnym miejscem jest nabrzeże przed Morskim Centrum Nauki. Cumował tam już wcześniej i wyglądał po prostu znakomicie. Maszty na tle bryły budynku tworzą fantastyczny widok - mówi.

Krystyna Pohl zwraca uwagę także na szerszy problem. Gdynia ma „Dar Pomorza” i „Błyskawicę”, Gdańsk ma „Soldka”, a Szczecin nie posiada dziś porównywalnego symbolu swojej morskiej historii.

Dyskusja o przyszłości jednostki nabrała tempa, ponieważ Uniwersytet Morski w Gdyni przygotowuje budowę następcy Daru Młodzieży. Nowa jednostka ma w przyszłości przejąć rolę szkolnego żaglowca. To oznacza, że po ponad czterech dekadach służby pojawi się realne pytanie o dalszy los obecnej fregaty.

Szczecin ma w tej sprawie mocny argument. Historia wyjątkowej więzi „Daru Młodzieży” z miastem rozpoczęła się dawno. Był sierpień 1984 roku. Lokalna prasa zapowiadała, że kapitan przygotowuje mieszkańcom niespodziankę. Gdy fregata zbliżyła się do miasta, na wysokości Stoczni Gryfia postawiła wszystkie żagle i bez pomocy holowników wpłynęła niemal pod Wały Chrobrego.

„Głos Szczeciński” pisał wówczas: „Po raz pierwszy w samym sercu Szczecina mogliśmy oglądać żaglowiec pod pełnymi żaglami. Czegoś takiego nikt się nie spodziewał”. Manewr do dziś uznawany jest za jeden z najbardziej efektownych w historii wejść wielkich żaglowców do szczecińskiego portu.”

„Dar Młodzieży” wrócił do Szczecina w sierpniu 2003 roku na zaproszenie Browaru Bosman. Wówczas padły słowa, które do dziś często przywołują zwolennicy pozostawienia żaglowca nad Odrą. Kapitan Leszek Wiktorowicz, komendant żaglowca, podkreślił, że „Dar Młodzieży” najpiękniej prezentuje się przy Wałach Chrobrego i wyraził nadzieję, że jednostka będzie częściej odwiedzała Szczecin.

Później „Dar Młodzieży” wracał do miasta podczas kolejnych finałów regat w 2007, 2013, 2017 i 2021 roku, za każdym razem będąc jedną z największych atrakcji wydarzenia. Fregata była także jednym z najważniejszych gości Żagli 2024.

Jego stała obecność mogłaby również oznaczać zupełnie nową rolę. Jako okręt-muzeum Dar Młodzieży mógłby być atrakcją turystyczną, miejscem wydarzeń kulturalnych, spotkań ludzi morza i edukacji morskiej. Dla Szczecina, który od lat buduje swój wizerunek miasta zwróconego ku wodzie, byłby też wyjątkowym eksponatem stojącym niemal w samym sercu miasta.

STARGARD

Pieniądze z policyjnej kasy poszły na hazard

Mariusz Parkitny

Pracownica cywilna stargardzkiej komendy policji wyłudziła ok. 400 tys. zł z policyjnej kasy pożyczkowo-zapomogowej. Teraz stanie przed sądem.

W toku śledztwa ustalono, że oskarżona Magdalena R., czyniąc sobie z popełnienia przestępstwa stałe źródło dochodu, przywłaszczyła powierzone jej mienie w postaci pieniędzy zgromadzonych przez członków Kasy Zapomogowo-Pożyczkowej przy Komendzie Powiatowej Policji w Stargardzie w łącznej kwocie ponad 400 tys. złotych. Oskarżona była pracownicą cywilną KPP w Stargardzie i oprócz obowiązków służbowych wykonywała

czynności związane z funkcjonowaniem KZP.

- Magdalena R. wykonała 948 przelewów z rachunku bankowego Kasy na swoje prywatne rachunki bankowe. Uzyskane środki spożytkowała na zasilenie konta w internetowym kasynie - wyjaśnia Prokurator Julia Szozda z Prokuratury Okręgowej w Szczecinie.

Magdalena R. (lat 47) przyznała się do winy i złożyła obszernie wyjaśnienia. Dotychczas nie była karana sądowo. Prokurator w toku śledztwa zastosował względem oskarżonej trzy środki zapobiegawcze, to jest poręczenie majątkowe, dozór policji oraz zakaz opuszczania kraju, ponadto dokonał zabezpieczenia majątkowego na jej mieniu.

Oskarżonej grozi kara pozbawienia wolności do lat 10.

FOKUS

● **Inflacja w lipcu wyniosła rok do roku 3,0 proc.**, a miesiąc do miesiąca 0,8 proc. – podał Główny Urząd Statystyczny

PRZESTĘPCZOŚĆ

Hakerzy przejęli ogromną bazę informacji medycznych

Wyciek około 2 terabajtów danych z firmy MyDr wywołał alarm wśród polskich służb i władz. Hakerzy przejęli informacje dotyczące nawet 19 mln osób, w tym numery PESEL

Marcin Koziestański

Wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski określił sprawę jako „niebywały i bardzo duży incydent w zakresie bezpieczeństwa polskiej infosfery”. Jednocześnie przedstawiciele władz podkreślają, że skradzione dane nie są obecnie dostępne publicznie. Gawkowski zapewnił, że informacje nie zostały wystawione na sprzedaż w internecie i są monitorowane przez służby. Minister zwrócił się również do osób, które mogą obawiać się o swoje dane. Jak przekazał, nie ma obecnie powodów

do paniki, a państwo monitoruje sytuację.

Sama firma MyDr poinformowała, że dane objęte incydemem „najprawdopodobniej mają charakter historyczny”. Chodzi o informacje pochodzące z 2024 roku i wcześniejszych lat. Nie muszą one obejmować wszystkich klientów MyDr ani wszystkich pacjentów korzystających z placówek wykorzystujących jej oprogramowanie. Firma zapewnia także, że obecnie działające systemy są bezpieczne i funkcjonują normalnie.

Na tym etapie nie ma jeszcze pełnych informacji doty-

czących sposobu przeprowadzenia ataku. Wiceminister cyfryzacji Michał Gramatyka, pytany o sprawę w programie WP Tłit, wskazał jednak na możliwość błędu po stronie człowieka.

– Jeśli wierzyć specjalistycznym portalom, bo z uzyskanych przez nie danych wynika, jaka była mechanika ataku, gdzieś po drodze ktoś musiał coś niewłaściwego kliknąć – powiedział.

Gramatyka odniósł się również do informacji pojawiających się w internecie na temat potencjalnego sprawcy. Według niego analiza języka wykorzystywanego

w materiałach dotyczących ataku może wskazywać na osobę pochodzącą z Indii. – Z publikacji na specjalistycznych portalach wynika, że to może być jakiś Hindus. Analiza języka pokazuje, że to może być ktoś z tego regionu – stwierdził.

Na razie nie ma jednak dowodów wskazujących na udział zagranicznych służb. Krzysztof Gawkowski przekazał, że dotychczasowe ustalenia wskazują na problem związany z oprogramowaniem i zarządzaniem systemem. – Dzisiaj nic nie wskazuje na to, że mieliśmy element spoza granic Polski,

który by w tym uczestniczył – powiedział minister.

Gawkowski zapewnił jednocześnie, że służby ustaliły już, gdzie znajdował się błąd.

– My już wiemy, gdzie był błąd w oprogramowaniu, jakie elementy zarządzania systemem nie zagrały. One są już uszczelnione – przekazał.

Nie jest jeszcze jasne, jaki dokładnie cel przyświecał osobom odpowiedzialnym za atak. W przypadku tego rodzaju przestępstw jednym z możliwych motywów jest próba wymuszenia okupu albo sprzedaż przejętych informacji w internecie. Nie można również wykluczyć

próby wywołania chaosu i niepokoju.

Sprawą zajęły się najważniejsze instytucje odpowiedzialne za bezpieczeństwo państwa i ochronę danych. Ministerstwo Cyfryzacji współpracuje ze służbami specjalnymi, Ministerstwem Zdrowia oraz Urzędem Ochrony Danych Osobowych. Postępowanie prowadzą również organy ścigania i Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Rząd zapowiedział, że nie zamierza negocjować z osobami odpowiedzialnymi za kradzież danych ani spełniać ewentualnych żądań finansowych.

MATERIAŁ INFORMACYJNY WARTY

0011525386

Nowa rola ubezpieczeń grupowych

- dla 63% zatrudnionych to najważniejszy benefit

Jeszcze kilka lat temu ubezpieczenie grupowe było jednym z tych benefitów, które „po prostu są” – podobnie jak karta sportowa. Dziś jego rola wyraźnie się zmienia. Pracownicy coraz częściej oczekują od ubezpieczenia „z pracy” nie tylko finansowego zabezpieczenia na wypadek najczarniejszych scenariuszy, ale realnego wsparcia tu i teraz – w chorobie, po wypadku, w kryzysie psychicznym czy w codziennym funkcjonowaniu po trudnym zdarzeniu losowym.

Zmiana ta nie jest przypadkowa. Jak pokazują dane z raportu „Benefity przyszłości” przeprowadzonego przez ICAN Research, dla 63% zatrudnionych ubezpieczenie jest jednym z najważniejszych benefitów. Jednocześnie aż 58% obawia się utraty pracy i dochodu w przypadku poważnej choroby. Właśnie dlatego nowoczesne ubezpieczenie grupowe przestaje być dodatkiem, a zaczyna pełnić funkcję realnego narzędzia bezpieczeństwa.

Od „jednej polisy dla wszystkich” do elastycznej ochrony

Jedną z najważniejszych zmian w podejściu do ubezpieczeń grupowych jest odejście od jednolitego modelu ochrony. W nowej wersji oferty grupowego ubezpieczenia na życie Warty pracownik może samodzielnie skomponować zakres ochrony, wybierając pakiety dodatkowe dopasowane do swojego stylu życia i etapu, na którym się znajduje.

To istotna zmiana jakościowa na rynku ubezpieczeń grupowych. Inne potrzeby ma młoda osoba aktywna fizycznie, inne rodzic małych dzieci, a jeszcze inne pracownik opiekujący się starszymi się rodzicami. Modułowa konstrukcja oferty Warty pozwala tę różnorodność uwzględnić bez konieczności kompromisów.

Praktyczne wsparcie w powrocie do zdrowia

Współczesne ubezpieczenia grupowe mocno koncentrują się na rozwiązaniach, które realnie pomagają przejść przez chorobę lub wrócić do sprawności po wy-

padku. To już nie tylko wypłata środków, które można wykorzystać w walce o powrót do zdrowia, ale także konkretne usługi: rehabilitacja, konsultacje specjalistyczne, teleopieka czy pomoc w organizacji codziennego życia.

Dobrym przykładem są wspierające powrót do zdrowia pakiety dodatkowe Warty – od kardiologicznego, przez onkologiczny, po rozwiązania dla osób aktywnych fizycznie, które są bardziej narażone na wypadki. W tym ostatnim przypadku ubezpieczenie obejmuje nie tylko wsparcie finansowe, ale także organizację rehabilitacji, transport medyczny czy nawet naprawę roweru po wypadku. To pokazuje kierunek: ubezpieczenie ma praktycznie działać.

Zdrowie psychiczne – odpowiedź na realną potrzebę

Rozszerzanie ochrony o zdrowie psychiczne jest kierunkiem bardzo potrzebnym. To zdecydowanie obszar, który jeszcze niedawno pozostawał na marginesie benefitów pracowników, dziś jednak staje się jednym z kluczowych elementów dobrostanu.

Z raportu „Benefity przyszłości” wynika, że 61% pracowników odczuło pogorszenie kondycji psychicznej w ostatnich latach, a 62% skorzystałoby ze wsparcia psychoterapeutycznego, gdyby było dostępne w ramach benefitów. Odpowiedzią na tę potrzebę jest pakiet Warty Zdrowie Psychiczne, obejmujący m.in. konsultacje z psychologiem i psychiatrą, psychoterapię czy wsparcie w powrocie do pracy po dłuższej absencji. To ważny sygnał dojrzałości rynku – zdrowie psychiczne zaczyna być traktowane na równi ze zdrowiem fizycznym.

Ochrona, która obejmuje całą rodzinę

Nowoczesne ubezpieczenie grupowe coraz częściej patrzy na rodzinę jako całość. W końcu samopoczucie, możliwości i kondycja pracownika są ściśle związane ze zdrowiem i sytuacją jego najbliższych. Dlatego rodzice często chcą zabezpieczyć swoje dzieci. Z drugiej strony, pracownicy posiadający starszych rodziców, coraz częściej potrzebują wsparcia w opiece nad nimi. W ofercie Warty zostały

uwzględnione potrzeby pracowników na różnych etapach życia – pracownik, oprócz siebie, może objąć ochroną swojego partnera lub małżonka, dzieci, a także rodziców i teściów.

Wysokość świadczeń ma znaczenie

Nie bez znaczenia pozostaje także poziom wsparcia finansowego. Rosnące koszty leczenia, rehabilitacji i codziennego życia sprawiają, że wysokość świadczeń staje się jednym z kluczowych kryteriów oceny ubezpieczenia. W ofercie Warty w przypadku niektórych zdarzeń, jak poważne wypadki, zabezpieczenie może sięgać nawet 360 000 zł. W praktyce oznacza to więcej pieniędzy na niezaplanowane wydatki związane z powrotem do zdrowia.

– Rosną koszty leczenia, rehabilitacji, leków i codziennego utrzymania, dlatego wysokość świadczeń powinna nadążać za rzeczywistymi potrzebami ubezpieczonych. Dla wielu rodzin grupowe ubezpieczenie na życie jest jednym z najważniejszych, a czasami nawet

jedynym zabezpieczeniem finansowym na trudne sytuacje. Dlatego w nowej ofercie Warty zwiększyliśmy kwoty świadczeń. Dzięki temu pracownicy mogą liczyć na większe wsparcie finansowe po poważnym zachorowaniu, nieszczęśliwym wypadku, pobycie w szpitalu czy śmierci ubezpieczonego lub jego bliskich – mówi Sylwester Janiak, dyrektor zarządzający Departamentem Sprzedaży Ubezpieczeń Grupowych TUnŻ Warta.

Benefit, który realnie działa

Grupowe ubezpieczenie ma coraz większe znaczenie dla pracodawców. Jest przez nich postrzegane jako jedno z najważniejszych narzędzi budowania atrakcyjnej oferty zatrudnienia. Jak wynika z raportu „Benefity przyszłości” przygotowanego przez ICAN Research, aż 94% zarządzających uważa, że tego typu benefitów nie należy traktować jako kosztu – to inwestycja w pracowników. Natomiast dla pracowników to ważny element poczucia bezpieczeństwa.



BULGARIA

Miasto Burgas będzie gospodarzem konkursu Eurowizji w przyszłym roku

oprac. Anna Nagel

71. Konkurs Piosenki Eurowizji odbędzie się w bułgarskim mieście Burgas w maju 2027 r. – ogłosili w czwartek Europejska Unia Nadawców (EBU) i bułgarska telewizja.

Będzie to pierwszy konkurs Eurowizji zorganizowany w Bułgarii. Piosenkarka z tego kraju, Dara, wygrała tegoroczną edycję wydarzenia.

Miliony widzów z całego świata obejrzą trzy spektakularne koncerty na żywo, które zostaną zorganizowane 11, 13 i 15 maja 2027 r. w najnowszej hali koncertowej i sportowej w Bułgarii, Arenie Burgas – napisano w komunikacie EBU.

Położony na wybrzeżu Morza Czarnego Burgas został wybrany spośród czterech bułgarskich miast. Na decyzję wpłynęła dobra infrastruktura miasta, w tym baza noclegowa i dostępność komunikacyjna. Dodano, że konkurenci Burgas – Sofia, Płowdiw i Warna – również będą zaangażowani w wydarzenie.

Zmiana zasad

Organizatorzy Eurowizji zmienili zasady dotyczące sposobu przeprowadzenia tego konkursu. Modyfikacja przepisów zakłada, że kraje, które wygrały konkurs, zostaną zdyskwalifikowane jako gospodarze konkursu w kolejnym roku, jeśli

„wrażliwa sytuacja geopolityczna” wpłynie na „bezpieczeństwo, ochronę lub stabilność ich państwa lub najbliższego regionu”.

Dotychczas kolejny konkurs Eurowizji organizowany był przez państwo, które rok wcześniej go wygrało.

Jak zauważyła stacja BBC, zmiana ta jest interpretowana jako reakcja na obecność Izraela w konkursie – kraj krytykowany za interwencje wojskowe w Strefie Gazy i innych obszarach na Bliskim Wschodzie.

W listopadzie 2025 r. kilku krajowych nadawców, w tym z Hiszpanii i Irlandii, ogłosiło bojkot konkursu po nieudanej próbie zawieszenia udziału Izraela w Eurowizji.



Alicja Szemplińska reprezentowała Polskę podczas tegorocznego konkursu

WŁOCHY

Mandat za telefon, a w ręku... cukinia. Włoszka walczy o sprawiedliwość

Marcin Koziestański

Włoszka ukarana wysokim mandatem za korzystanie z telefonu komórkowego podczas prowadzenia samochodu, zaskarżyła karę do sądu, argumentując, że trzymała w ręku nie aparat, ale cukinię.

Dziennik „Il Messaggero Veneto” podał, że we wrześniu 2020 roku mieszkanka okolic miasta Udine została ukarana mandatem w wysokości 320 euro za to, że prowadząc samochód, trzymała telefon.

Kobieta zaskarżyła mandat i skierowała sprawę do sądu, twierdząc, że nie miała w ręku telefonu, ale plaster smażonej cukinii, który wkładała właśnie do ust. Przedstawiła także listę połączeń jako dowód na to, że z nikim wtedy nie rozmawiała. Jej obrońca

podkreślił ponadto, że jego klientka ma w aucie zestaw głośnomówiący.

W pierwszej instancji sąd stwierdził jednak, że w momencie kontroli kobieta nie złożyła żadnego oświadczenia podważającego stwierdzone wykroczenie, a taki zarzut i swoją wersję zdarzenia przedstawiła dopiero później, przy zaskarżeniu mandatu.

Również sąd apelacyjny w Trieście utrzymał to orzeczenie i odrzucił skargę kobiety. W uzasadnieniu podkreślono, że ewentualna obecność cukinii w aucie oraz korzystanie z zestawu głośnomówiącego nie dowodzą, że funkcjonariusze popełnili błąd w ocenie sytuacji, ponieważ telefon może być używany również do wysyłania wiadomości czy korzystania z internetu.

Kobieta musi zapłacić nie tylko mandat, ale także prawie 500 euro kosztów postępowania.

UKRAINA

Wołodimir Zełenski apeluje do USA o pociski Patriot

oprac. Anna Nagel

Prezydent Ukrainy Wołodimir Zełenski przekонуje, że gdyby USA sprzedały Ukrainie 10 proc. swoich zapasów pocisków przechwytyjących, moglibyśmy stracić wszystkie rakiety balistyczne, którymi atakuje nas Rosja.

Ukraiński prezydent powiedział amerykańskiej stacji CNN, że jego dni upływają na „milionach” rozmów telefonicznych oraz negocjacji z sojusznikami w sprawie pozyskania kolejnych pocisków.

Zełenski powiedział, że jedna dziesiąta obecnych zapasów USA wystarczyłaby, aby powstrzymać wszystkie rosyjskie ataki rakietami balistycznymi, a pięć procent wystarczyłoby, aby Ukraina przetrwała zimą.

– W tym roku mamy dwa i pół raza mniej pocisków przechwytyjących, niż mieliśmy w 2025 roku. Rosja ma dwa razy więcej rakiet balistycznych miesięcznie, niż miała wcześniej – dodał. Gdyby Stany Zjednoczone „sprzedały nam 5 proc. (swoich zapasów rakiet), przetrwalibyśmy zimą i uratowalibyśmy życie ludzi, jeśli mogłyby sprzedać nam 10 proc., zniszczylibyśmy wszystkie rosyjskie rakiety balistyczne. Mam 1 proc.” – powiedział Zełenski.

Prezydent przyznał też, że wciąż istnieją wątpliwości co do tego, jak miałyby zostać zrealizowane zadeklarowane przez prezydenta Donalda Trumpa zgoda na umożliwienie Ukrainie produkcji pocisków przechwytyjących Patriot.

– Mam nadzieję, że to otrzymam – powiedział Zełenski. – W tej chwili nie mam nawet 5 proc. (pocisków)



Podczas lipcowego szczytu NATO Trump spotkał się z Zełenskim i zapowiedział, że Ukraina otrzyma licencję na produkcję rakiet

i nie mam takiej zgody. I jest to dla mnie ogromne wyzwanie, jedno z największych, z jakimi mierzyłem się od samego początku tej wojny – podkreślił prezydent.

Licencja dla Ukrainy

8 lipca podczas szczytu NATO w Ankarze prezydent USA zapowiedział w rozmowie z prezydentem Ukrainy, że Kijów otrzyma licencję na produkcję rakiet do systemów Patriot w Ukrainie. Jednak pod koniec miesiąca Trump przekazał, że nie zgodził się na produkcję Patriotów przez Ukrainę. Dodał, że są prowadzone w tej sprawie rozmowy, ale Amerykanie muszą uważać, z kim dzieli się technologią.

Wielu chętnych na rakiety

Jak zaznaczyła stacja CNN, na świecie panuje niedobór pocisków prze-

chwytyjących z powodu wojny USA z Iranem, a braki te najbardziej dotkliwie odczuwa Ukraina.

Prezydent Trump zapewnia, że USA posiadają ogromną ilość amunicji. USA ogłosiły nowe umowy dotyczące zwiększenia produkcji niektórych rodzajów uzbrojenia, takich jak rakiety do systemów Patriot, lecz proces produkcji tych pocisków może trwać nawet dwa lata – zaznaczyła gazeta „Washington Post”.

W minionym tygodniu Trump, pytany o apele prezydenta Ukrainy w sprawie dostaw m.in. pocisków do systemów Patriot, odparł: – My też chcemy rakiet.

Z raportu waszyngtońskiego think tanku CSIS wynika, że wojsko USA posiada mniej niż tysiąc pocisków przechwytyjących Patriot oraz mniej niż 250 pocisków przechwytyjących THAAD.

USA

Piorun uderzył w zakład karny. 16 więźniów rannych

Marcin Koziestański

Do niebezpiecznego zdarzenia doszło w środę wieczorem w zakładzie karnym Grafton Correctional Institution w Ohio. Piorun uderzył w obiekt, gdy osadzeni wracali z kolacji.

Według przekazanych informacji piorun uderzył, gdy więźniowie wracali z kolacji. Na miejsce skierowano służby ratunkowe, a poszkodowanych przewieziono do szpitala

na badania i leczenie. Jedną osobę, ze względu na stan zdrowia, przewieziono do szpitala śmigłowcem. Władze podkreśliły jednocześnie, że w wyniku zdarzenia nikt nie zginął.

Na razie nie podano szczegółowych informacji dotyczących obrażeń poszczególnych poszkodowanych. Przedstawiciele zakładu poinformowali, że sytuacja jest monitorowana, a służby nadal oceniają jej skutki.

Grafton Correctional Institution jest zakładem karnym o minimal-

nym i średnim poziomie bezpieczeństwa. Według danych placówki przebywa w nim nieco ponad 2 tys. osadzonych.

Więzienie działa od 1988 roku. Znajduje się w hrabstwie Lorain, około 48 kilometrów na południowy zachód od Cleveland.

Na tym etapie władze nie przekazały dodatkowych informacji dotyczących tego, czy uderzenie pioruna spowodowało uszkodzenia infrastruktury zakładu ani jak długo potrwa usuwanie skutków zdarzenia.

tygodnik Regionów

Piątek, 14.08.2026

Historia regionu

Niemiecki gigant z czasów I wojny światowej nigdy nie oddał ani jednego strzału

– Str. 12

Pamięci Powstańców

Poznajcie historię relikwii tysięcy powstańców warszawskich ze Stalagu Lamsdorf

– Str. 14



FOT. NADLESNICTWO POLANÓW

Spacer w poszukiwaniu naszych pszczelich przyjaciół

Są naszymi sprzymierzeńcami. Bez ich ciężkiej pracy nie mielibyśmy większości owoców, warzyw. Niewiele wiemy o tych fascynujących owadach.

– Str. 10

W PLENERZE

Spacer z leśnikiem po Górze Polanowskiej. Tym razem w poszukiwaniu dzikich pszczół

Nadleśnictwo Polanów zaprosiło chętnych na kolejny „Spacer z leśnikiem”. Tym razem uczestnicy wyruszyli na poszukiwanie dzikich pszczół. Wyprawę szlakiem Świętej Góry Polanowskiej poprowadziły dr Justyna Kierat, która jest melitologiem i współpracuje z Nadleśnictwem Polanów, oraz Patrycja Nowakowska, która jest specjalistką Służby Leśnej ds. ochrony przyrody i lasów społecznych.

Marzena Sutryk

Obie panie od dłuższego czasu zajmują się inwentaryzacją pszczół występujących na terenie Nadleśnictwa Polanów i w związku z tym prowadzą cykliczne kontrole terenowe. Kolejna taka kontrola właśnie dobiega końca (w kolejnym etapie przyjdzie czas na podsumowanie). Do tej pory na terenie Nadleśnictwa Polanów udało im się stwierdzić obecność ok. 130 gatunków pszczół. Przy tym warto wiedzieć, że w ogóle w Polsce występuje ok. 500 gatunków pszczół. Największy pożytek z pszczół to oczywiście zapylanie przez nie różnego rodzaju roślin. Stąd określa się je mianem zapylaczy.

Uczestnicy „Spaceru z leśnikiem” mieli okazję zobaczyć z bliska, jak wyglądają różne gatunki pszczół, także te bardzo małe, jak np. pszczolinki. Mogli też poznać tajniki pracy badawczej i wysłuchać wielu ciekawostek z życia pszczół – gdzie występują, jakie gatunki żyją wokół nas, jak bardzo są pożyteczne i dlaczego nie musimy się ich bać, i jak się wobec pszczół zachowywać, by nie zrobić im krzywdy, a także, by ich nie sprowokować do agresywnego zachowania wobec człowieka.

Można było usłyszeć m. in. o tym, że pszczoła miodna jest jednym z gatunków pszczół, a także, że ul jest charakterystyczny dla hodowlanych pszczół miodnych, natomiast dzikie pszczoły miodne zamieszkują w dziuplach drzew. Tylko pszczoły miodne atakują człowieka, gdy ten zbliży się do gniazda, ewentualnie niektóre trzmielce. Natomiast pozostałe pszczoły nie będą atakować. Chyba że sami, niechcący, np. przydusimy pszczołę czy nadepniemy (uwaga: w ziemi występują gniazda różnych gatunków pszczół). Poza tym nie każdy pewnie wie, że – jak już – to żądła wyłącznie samice.

Osy, podobnie jak pszczoły, też są zapylaczami, którymi są także motyle oraz różne muchówki. Z tym, że osy są drapieżnikami i padlinozercami, a przez swoje działa-



FOT. NADLEŚNICTWO POLANÓW

nie regulują populację innych organizmów.

Różnica między pszczołą a osą? – To dwa różne owady, ale oba należą do żądłówek, bo mają żądła – tłumaczy pani Justyna. – Żądło to przekształcone pokładelko – urządzenie do składania jaj przez samice. Dlatego samice mają żądła, a samce ich nie posiadają, a więc nie żądła. Pszczoły razem z mrówkami, grzebaczami, rośliniarkami i innymi należą do grupy błonkówek.

Podczas wyprawy można było zobaczyć z bardzo bliska zaobserwowane na szlaku pszczoły. Pani Justyna chwyciła napotkane pszczoły

do specjalnej siatki, a następnie w umiejętny i delikatny sposób, z ogromną wprawą, umieszczała je na chwilę w foliowym woreczku, aby wszyscy mogli je zobaczyć, a do słownie po chwili uwalniała owady

Leśnicy z Nadleśnictwa Polanów zapowiadają już kolejne wyprawy. Ta była trzynasta. Macie ochotę na taką przygodę? Terminy kolejnych Spacerów z Leśnikiem znajdziecie na stronie nadleśnictwa.

z woreczka, bez krzywdy dla nich, i pszczoły wracały do swojego naturalnego środowiska.

Udało się spotkać m.in. Bombusa – to z łaciny oznacza trzmiela, który dość często występuje w naszym otoczeniu. Pojawił się też trzmieliec Bombus bochechicus.

– Bombus to nazwa naukowa trzmieli i trzmielców – każdy trzmiel i trzmieliec to Bombus. Bombus bochechicus to trzmieliec gajowy, pasożytuje na trzmielu gajowym – Bombus lucorum – dr Justyna Kierat tłumaczy zawiłości łacińskiego nazewnictwa poszczególnych owadów.

„Spacer z leśnikiem” był też okazją, by zobaczyć niewielką pszczołę – pszczołę samotnicę o wdzięcznej nazwie pszczolinka – po łacinie Andrena denticulata, czyli pszczolinka białoczarna. – Jest bardzo mała i jest specjalistką od zapylania astrowatych – mówiła pani Justyna. – Pszczolinki są samotne, nie mają królowej i robotnic, każda samiczka buduje własne gniazdo. Zbierają pyłek na tylnych nóżkach, tam mają do tego specjalne szczoteczki. Pszczolinki gniazdują pod ziemią. Same kopią sobie norę w ziemi. Tę pszczołę możemy spotkać tylko latem. Są bezpieczne – zazwyczaj nie

są w stanie przebić swoim żądłem ludzkiej skóry.

Udało się też trafić na pseudo-smuklika, który wygląda dosłownie jak uskrzydłona mrówka. Gniazduje w ziemi. Kojarzycie takie z przydomowego ogrodu? – One mogą mieć swoje małe społeczności i kolonie gniazd. Są bezpieczne, nie żądla – opowiadała dr Justyna Kierat.

Kolejna pszczoła napotkana na szlaku to była – uwaga, kolejna trudna nazwa – zbierka zębouda.

W pobliżu pojawiła się też skrócinka – to pszczoła, która zbiera nie tylko pyłek i nektar, ale też olejki roślinne.

Podczas wyprawy była też okazja poznać z bliska bzygi, które są świetnymi zapylaczami, ale pełnią też inne funkcje, m.in. zjadają mszyce. – W środowisku występuje ok. 400 gatunków, a ich duża część wygląda jak osy albo pszczoły, są bezbronne, nie potrafią użądlić, a ich wygląd jest poto, by odstraszać – tłumaczyła pani Justyna.

– Warto pamiętać, że te różnorodne zapylacze są nam potrzebne do zapylania roślin.

Nie możemy jednego zapylacza zastąpić innym – podkreśliła dr Justyna Kierat.

A wiecie, że w naszym otoczeniu występują m. in. pszczoły kukułki?



FOT. NADLEŚNICTWO POLANÓW

One, jak ptaki – kukułki, podrzucają swoje jajeczka do gniazd innych gatunków pszczoł. Stąd ich nazwa. – Mają dość specyficzny sposób działania – wyjaśniała też pani Justyna. – Pszczoły kukułki nie są zagrożeniem dla populacji pszczoł. A obecność pasożytów w postaci pszczoł świadczy o tym, że populacja pszczoł jest bogata na danym terenie. Tak więc obecność pasożyta – pszczoły jest czymś pozytywnym.

I na koniec jeszcze jedna ważna uwaga. Mianowicie, jak się zachować w obecności pszczoły, gdy ona jest na kwiecie? Spokojnie, ona nie chce nas atakować, ona będzie

przed nami uciekać. A jeżeli będzie koło nas latała i zauważymy, że robi to zygzakiem, to oznacza, że pszczoła nam się przygląda, w ten sposób mały owad skanuje nasze ciało, bo nie jest w stanie zobaczyć nas w całości. Gdy stoimy spokojnie, nic nam nie grozi.

Spacer poświęcony pszczołom i różnego rodzaju zapylaczom był niezwykle ciekawy, pełen interesujących opowieści i wiadomości z życia pszczoł. Do tego wszystko odbywało się w pięknym otoczeniu na Świętej Górze Polanowskiej, wśród kwiatów kwitnących wokół tutejszego sanktuarium.



FOT. NADLEŚNICTWO POLANÓW

REKLAMA

0011565720



Pakiet jesienny Czas na zdrowie

-  **Zakwaterowanie**
-  **3 posiłki dziennie w formie bufetu szwedzkiego**
-  **Konsultacja lekarska**
-  **4 zabiegi dziennie (oprócz niedziel i dni świątecznych)**
-  **90 min. dziennie w Strefie Relaksu (sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)**
-  **Voucher do Integracja Cafe**
-  **Termin: 27.09 – 2.10.2026**

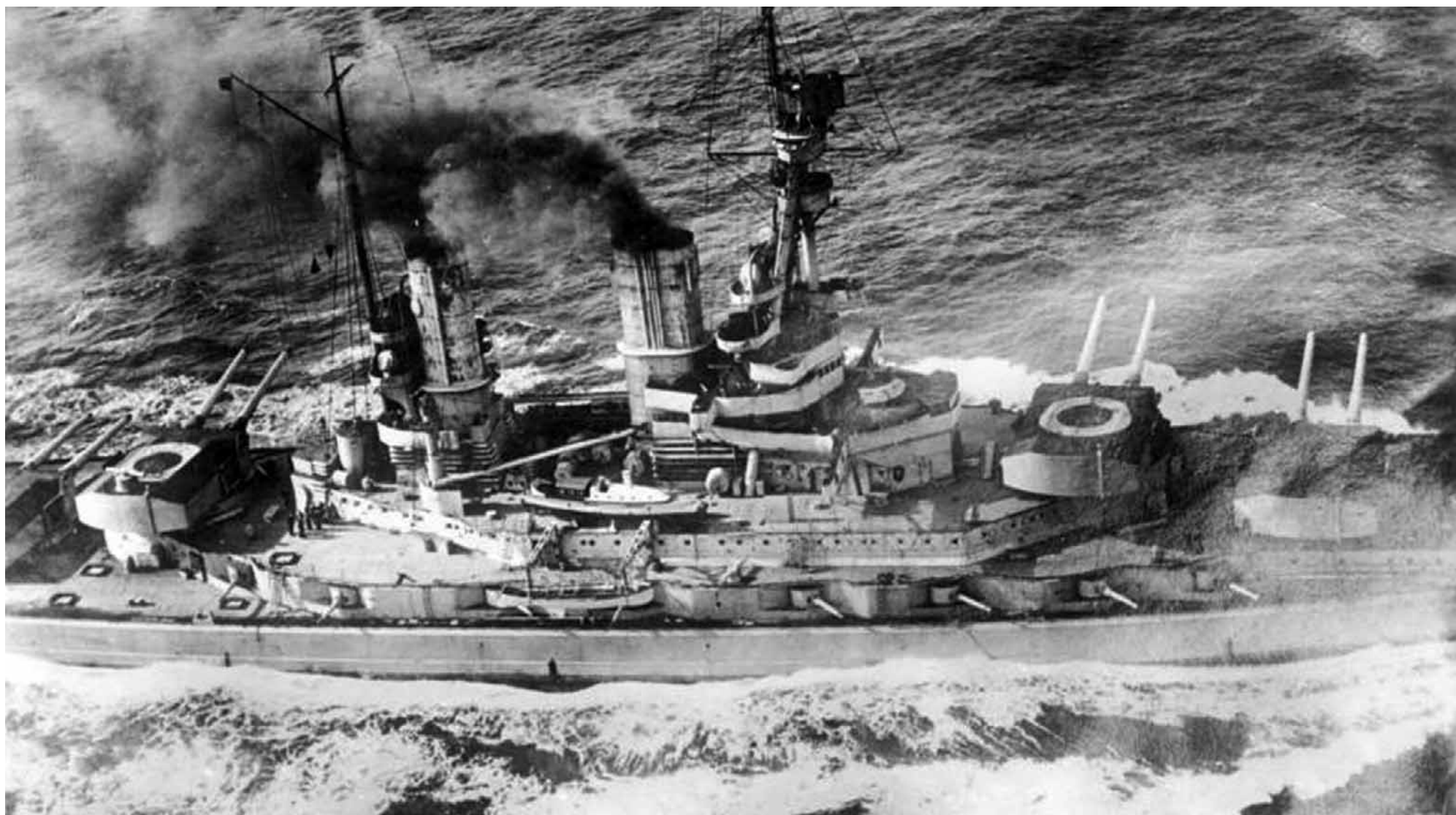
 **52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320**
 **medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl**
 **www.solanki.pl**

Materiały graficzne wykorzystane w reklamie zostały wygenerowane przy użyciu sztucznej inteligencji (AI).

HISTORIA

380-milimetrowe działa, potężny pancierz i 27 węzłów. Okręt, którego nie ukończono

Historia morskich zbrojeń pełna jest okrętów, które nigdy nie wyszły w morze. Jednym z najbardziej fascynujących przykładów jest typ Ersatz Yorck - seria trzech niemieckich krążowników liniowych, które miały stać się najpotężniejszymi jednostkami swojej klasy w Kaiserliche Marine. Zmieniająca się sytuacja na frontach Wielkiej Wojny sprawiła, że ich budowę przerwano, zanim pierwszy z nich został ukończony.



Okręt liniowy „Baden”, z wieżami głównej artylerii skierowanymi na lewą burtę. Okręty typu Ersatz Yorck miały być uzbrojone w podobny sposób, czyli w 8 dział kalibru 380 mm

Marek Jaszczyński

Choć żaden z okrętów typu Ersatz Yorck nie wszedł do służby, projekt ten stanowił ważny etap rozwoju niemieckiej myśli okrętowej i wywarł wpływ na późniejsze konstrukcje Kriegsmarine, w tym słynne pancerniki typu Scharnhorst.

Od Jutlandii do nowych planów

Bitwa jutlandzka z 1916 roku była największym starciem flot I wojny światowej.

Niemcy przekonali się podczas niej, że ich krążowniki liniowe, choć dobrze opancerzone, potrzebują jeszcze większej siły ognia. Jednocześnie wywiad niemiecki zdobywał informacje o nowych brytyjskich jednostkach typu Admiral, do których należał późniejszy HMS „Hood”. W odpowiedzi rozpoczęto prace nad ulepszoną wersją projektowanych już krążowników liniowych typu Mackensen.

Pierwotnie trzy nowe jednostki miały należeć

właśnie do typu Mackensen. W toku prac projektowych zdecydowano jednak o radykalnych zmianach. Najważniejszą było zastosowanie znacznie potężniejszych dział kalibru 380 mm zamiast planowanych wcześniej armat 350 mm. Powstał w ten sposób nowy typ, który otrzymał robocze nazwy Ersatz „Yorck”, Ersatz „Gneisenau” i Ersatz „Scharnhorst”. Słowo Ersatz miały formalnie zastąpić utracone wcześniej krążow-

niki pancerne o tych nazwach.

Następcy poległych okrętów

Nazwy nowych jednostek nie były przypadkowe. SMS „Yorck” zatonął w listopadzie 1914 roku po wejściu na niemieckie miny na Morzu Północnym. Z kolei krążowniki pancerne „Scharnhorst” i „Gneisenau” zostały zatopione miesiąc później podczas bitwy koło Falklandów przez brytyjską eskadrę admirała Fredericka Sturdee.

Nowe krążowniki liniowe miały symbolicznie odrodzić utracone jednostki i przywrócić niemieckiej flocie przewagę jakościową nad przeciwnikiem.

Potężniejsze od Mackensenów

Nowy projekt stanowił rozwinięcie typu Mackensen, lecz był od niego większy i znacznie lepiej uzbrojony. Okręty miały długość około 228 metrów, szerokość ponad 30 metrów i wyporność dochodzącą do 38 tysięcy ton

przy pełnym załadunku. Były więc jednymi z największych jednostek projektowanych przez Niemcy podczas I wojny światowej.

Największe wrażenie robiło jednak uzbrojenie główne. Projektanci przewidzieli osiem dział kalibru 380 mm umieszczonych w czterech podwójnych wieżach artyleryjskich. Były to te same działa, które stosowano na pancernikach typu Bayern - najpotężniejszych niemieckich okrętach liniowych epoki.



Okręt, który nigdy nie wypłynął. Ersatz Yorck pozostaje symbolem niezrealizowanych ambicji cesarskich Niemiec. Gdyby został ukończony, należałby do najpotężniejszych krążowników liniowych świata i mógłby odegrać znaczącą rolę w ostatnich latach I wojny światowej. Zamiast tego pozostał jedynie projektem, którego historię zapisano na deskach kreślarskich i w dokumentach stoczniowych.

Każdy pocisk ważył ponad 700 kilogramów, a zasięg ognia przekraczał 20 kilometrów. W praktyce oznaczało to, że nowe krążowniki liniowe mogłyby prowadzić równorzędą walkę nawet z najcięższymi brytyjskimi jednostkami.

Charakterystyczna sylwetka

Jedną z najbardziej rozpoznawalnych cech projektu był pojedynczy, ogromny komin. W przeciwieństwie do wcześniejszych niemieckich krążowników liniowych, które miały dwa lub trzy kominy, w typie Ersatz Yorck wszystkie przewody dymowe miały zostać połączone w jeden wielki przewód kominowy. Rozwiązanie to nadawało jednostkom bardzo nowoczesny wygląd i odróżniało je od wcześniejszych konstrukcji.

Dzięki temu okręty prezentowały się bardziej masywnie i przypominały już konstrukcje okresu międzywojennego.

Pancerz i ochrona

Niemieccy konstruktorzy od początku wojny przywiązywali ogromną wagę do ochrony okrętów. W przeciwieństwie do wielu brytyjskich krążowników liniowych, które stawiały przede wszystkim na szybkość i siłę ognia, niemieckie jednostki słynęły z wyjątkowo mocnego opancerzenia.

Typ Ersatz Yorck miał kontynuować tę tradycję. Pas pancerny chroniący najważniejsze części kadłuba osiągał

grubość 300 mm. Wieże artyleryjskie i stanowiska dowodzenia również otrzymały bardzo solidną ochronę. Całość wykonano z wysokiej jakości stali Kruppa, uznawanej wówczas za jedną z najlepszych na świecie.

Dzięki temu nowe krążowniki liniowe miały być znacznie odporniejsze na uszkodzenia niż większość brytyjskich odpowiedników.

Szybkie, mimo ogromnych rozmiarów

Projektanci zamierzali zastosować zespół turbin o mocy około 90 tysięcy koni mechanicznych. Pozwalało to osiągać prędkość około 27,3 węzła, czyli ponad 50 kilometrów na godzinę. Był to wynik nieco niższy od osiągniętych przez jednostki typu Mackensen, ale nadal wystarczający, by wykonywać klasyczne zadania krążowników liniowych – prowadzenie rozpoznania, osłonę floty oraz pościg za słabszymi jednostkami przeciwnika.

Przy tak dużym opancerzeniu i ciężkim uzbrojeniu osiągnięcie podobnej prędkości było znaczącym sukcesem niemieckich konstruktorów.

Budowa w cieniu wojny

Kontrakty na budowę nowych okrętów podpisano jeszcze w czasie wojny. Najbardziej zaawansowane były prace przy pierwszej jednostce – Ersatz Yorck. Stępkę położono w lipcu 1916 roku. Do czasu zmiany projektu część konstrukcji kadłuba była już gotowa.

Jednak sytuacja strategiczna Niemiec szybko się

zmieniała. Dowództwo marynarki coraz większe nadzieje wiązało z wojną podwodną. Uznano, że budowa U-Bootów daje większe szanse na pokonanie Wielkiej Brytanii niż inwestowanie ogromnych środków w kolejne ciężkie okręty nawodne.

W efekcie środki finansowe, stal i wykwalifikowani robotnicy zaczęli trafiać przede wszystkim do stoczni produkujących okręty podwodne.

Koniec ambitnego projektu

W 1917 roku prace przy Ersatz Yorck praktycznie zamrożono. Robotnicy wykonywali jedynie minimalne czynności, często po to, by utrzymać zatrudnienie w stoczni. Dwa pozostałe okręty nie wyszły poza etap przygotowań.

Raport niemieckiej administracji morskiej z lutego 1918 roku potwierdził oficjalnie, że budowa dużych okrętów została wstrzymana na rzecz programu U-Bootów. Powstające elementy kadłuba pierwszej jednostki zostały później zełomowane bez wodowania. Niektóre podzespoły przygotowane dla drugiego okrętu wykorzystano natomiast przy budowie dużych okrętów podwodnych typu U 151.

Tak zakończyła się historia jednego z najbardziej ambitnych projektów niemieckiej floty cesarskiej.

Dziedzictwo Ersatz Yorcka

Choć okręty nigdy nie zostały ukończone, ich zna-

czenie dla historii budownictwa okrętowego jest większe, niż mogłoby się wydawać. Projekt pokazał kierunek rozwoju niemieckich ciężkich jednostek – połączenie silnego uzbrojenia

pancerników z wysoką prędkością krążowników liniowych.

W latach 30. XX wieku część rozwiązań opracowanych dla typu Ersatz Yorck wykorzystano podczas pro-

jektowania pancerników typu Scharnhorst. Historycy marynarki wojennej często wskazują, że były one duchowymi spadkobiercami niezrealizowanego projektu z czasów Wielkiej Wojny.

MATERIAL INFORMACYJNY ZCK

0011555262

Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziem Górskich w Zakopanem czas zacząć

Są wydarzenia, które wraz z upływem lat stają się nie tylko częścią kalendarza kulturalnego, ale także symbolem miejsca, jego tożsamości i wartości. Do takich bez wątpienia należy Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziem Górskich w Zakopanem – najważniejsze wydarzenie folklorystyczne regionu, jeden z najbardziej prestiżowych górskich festiwali w Polsce i Europie, a zarazem rozpoznawalna na całym świecie wizytówka Zakopanego. Od 21 do 27 sierpnia zapraszamy na Dolną Równię Krupową w Zakopanem. Tam poznamy „Świat górskich wierzeń – na styku sacrum i magii”.

Wyjątkowa muzyka, taniec, stroje, rzemiosło i gwara

Od dziesięcioleci festiwal pozostaje wierny swojej idei. Choć świat wokół zmienia się niezwykle dynamicznie, a współczesność przynosi nowe wyzwania i nowe formy komunikacji, Zakopane niezmiennie staje się miejscem spotkania kultur górskich z różnych stron globu. To wyjątkowa przestrzeń dialogu tradycji i współczesności, w której najważniejsze pozostają autentyczność, szacunek dla dziedzictwa oraz przekazywanie wartości kolejnym pokoleniom. Dla Zakopanego kultura rodzima jest czymś więcej niż tylko elementem lokalnej tradycji. To fundament tożsamości miasta, jego rozpoznawalny znak i powód do dumy. Góralska muzyka, taniec, stroje, rzemiosło i gwara od pokoleń budują wyjątkowy charakter stolicy polskich Tatr.

Świat górskich wierzeń – na styku sacrum i magii

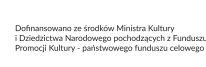
Motywy przewodnim tegorocznej edycji festiwalu, który będzie trwał od 21 do 27 sierpnia, stał się „Świat górskich wierzeń – na styku sacrum i magii”. To fascynująca podróż do świata dawnych wyobrażeń, rytuałów, symboli i wierzeń obecnych w kulturze ludowej od wieków. Góralska tradycja pełna jest opowieści o siłach natury, wierzeń związa-



Więcej informacji na www.festiwal.zakopane.pl lub po zeskanowaniu kodu QR

nych z cyklem życia człowieka, świętami dorocznymi, ochroną domostwa czy przekonaniami dotyczącymi szczęścia i pomyślności. Nie zabraknie również wydarzeń, które od lat stanowią serce festiwalu. Publiczność będzie mogła uczestniczyć w koncertach konkursowych zespołów folklorystycznych z Polski i świata oraz kibicować uczestnikom Międzynarodowego Konkursu Kapel, Instrumentalistów i Śpiewaków Ludowych. Program wzbogacą koncerty gwiazd, wśród których znajdą się m.in. **Roby Lakatos** oraz **Stefan Štec**, artyści cenieni za niezwykłą umiejętność łączenia tradycji z nowoczesną interpretacją muzyki ludowej.

Serdecznie zapraszamy do Zakopanego od 21 do 27 sierpnia. Przyjdźcie, aby usłyszeć muzykę płynącą prosto z serca gór, odkryć tajemnice dawnych wierzeń i poczuć niezwykłą energię spotkania górali z całego świata.



ROCZNICA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Relikwie powstańców warszawskich ze Stalagu Lamsdorf. Trafiło ich tu sześć tysięcy, w tym kobiety i nieletni

Numerowany kawałek blachy z przynitowanymi rzemykami i klamerką kojarzy się z wszystkim, tylko nie z damską biżuterią. Był nią jednak w Stalagu 344 Lamsdorf. W miejscu, do którego w październiku 1944 roku trafili żołnierze z powstania warszawskiego.



Powstańcy warszawscy wychodzą ze stolicy po kapitulacji. Jedna trzecia z nich trafiła do Łambinowic.

KS

Radziecki jeniec przerobił tam na damską bransoletkę obozowy nieśmiertelnik numer 106811, należący do Zofii Arcimowicz - sanitariuszki AK o pseudonimie „Zula”.

- Mama i jej koleżanki z powstania porozumiewały się z Rosjanami przez druty - opowiada Andrzej Arcimowicz, który w czerwcu tego roku przekazał niezwykłą pamiątkę po matce do Centralnego Muzeum

Jeńców Wojennych w Opolu-Łambinowicach. - Któregoś dnia zdjęła nieśmiertelnik i przerzuciła na tamtą stronę. Podobnie zrobiło kilka innych dziewcząt. Nieśmiertelniki wracały tą samą drogą, tak właśnie przerobione.

- Ta bransoletka zaskoczyła nas całkowicie, nigdy dotąd w żadnym muzeum nie spotkałam czegoś podobnego - mówi dr Violetta Rezler-Wasielewska, dyrektorka CMJW. - Jeniec, który to zrobił, musiał pra-

cować w warsztacie, miał dostęp do materiałów i narzędzi. Należał do tych, którzy obsługiwali obóz.

Rosjanie wykonywali tu najcięższe prace, od czyszczenia latryn poczynawszy. To trochę przedłużało życie wybranych, ale takich było niewiele. Do obozu zwożono Rosjan po to, by tu umierali.

W Stalagu Lamsdorf nieśmiertelniki były obowiązkowe. Jeńcy nosili je na różne sposoby. Dla młodych żołnerek z Warszawy, jak się

okazało, były też ozdobą, namiastką prawdziwej biżuterii, o której w niewoli mogły tylko pomarzyć. - W ten sposób mogły też zagrać na nosie obozowym władzom - przypuszcza dyr. Rezler-Wasielewska.

Łączniczka „Zula” doczekała wyzwolenia. Uciekła do Polski z transportu, którym Amerykanie wywozili jeńców do Londynu. Przez Kłodzko dostała się do kraju. Na granicy, w obozowych papierach - a innych przecież nie miała - wpisano jej: „AK

- zapluty karzeł reakcji”. Przez wiele lat nie mogła znaleźć pracy.

Bransoletkę ze stalagu do końca życia pielęgnowała jak relikwię. Zmarła w 2000 roku. - Mama była dumna z tego, że walczyła w powstaniu, nigdy na nic się nie skarżyła - wspomina Andrzej Arcimowicz.

Pocztą nad drutami

Przerzucane ponad obozowymi drutami nieśmiertelniki to rzeczy-

wiecie rzadkość. Tą drogą wędrowały przede wszystkim listy. Do stalagu nierzadko trafiały całe powstańcze rodziny czy pary narzeczonych.

Rozdzieleni w obozie ludzie szukali kontaktu, wieści o bliskich, znajomych. W zbiorach Łambinowickiego muzeum są listy do sanitariuszki Alicji Wojciechowskiej, ps. „Jaga Koziniec”, z 44. Kompanii Ochrony Powstania. Na małych kartkach z notesu, drobnym piśmem pisali do niej przez druty, z męskiego obozu, narzeczony Feliks Tuszyński, żołnierz kompanii motorowej batalionu Kiliński, ps. „Feliks Dwa”, i brat Janusz.

„Serdecznie dziękuję za prezent w postaci paska” - czytamy w liście od „Feliksa” - „Ostrzegam cię jednak, byś nie była zbyt dobroduszną i nie szafowała prezentami na prawo i lewo, gdyż zostałabyś w niedługim czasie w stroju Ewy. W obozie trzeba się usamodzielić”. A brat podawał jej w „przerzucanym pocztą” liściku adres kuzyna w Częstochowie, gdzie będą mogli się odnaleźć po wojnie, i pytał z niepokojem: „Co słychać u was? Co mają zamiar z wami zrobić?”.

- Ta pocztka funkcjonowała świetnie - wspomina pani Alicja. - Gdy znaleziono kamień owinięty w papier, przekazywano go sobie z rąk do rąk tak długo, aż trafił do adresata. „Jaga Koziniec” i „Feliks Dwa” pobrali się już po wojnie, w lipcu 1945 roku, w Murnau w Niemczech. 88-letnia dziś pani Alicja Tuszyńska mieszka w Warszawie. - Gdybym znów miała 21 lat, gdyby to wszystko miało się powtórzyć, poszłabym znów do powstania - mówi bez wahania.

Wywiezionych do stalagu powstańców dręczył niepokój i strach o przyszłość. By odsunąć czarne myśli i wypełnić czymś obozową nudę, komisje oświatowe organizowały im przeróżne zajęcia. W Łambinowicach popularna była metaloplastyka.

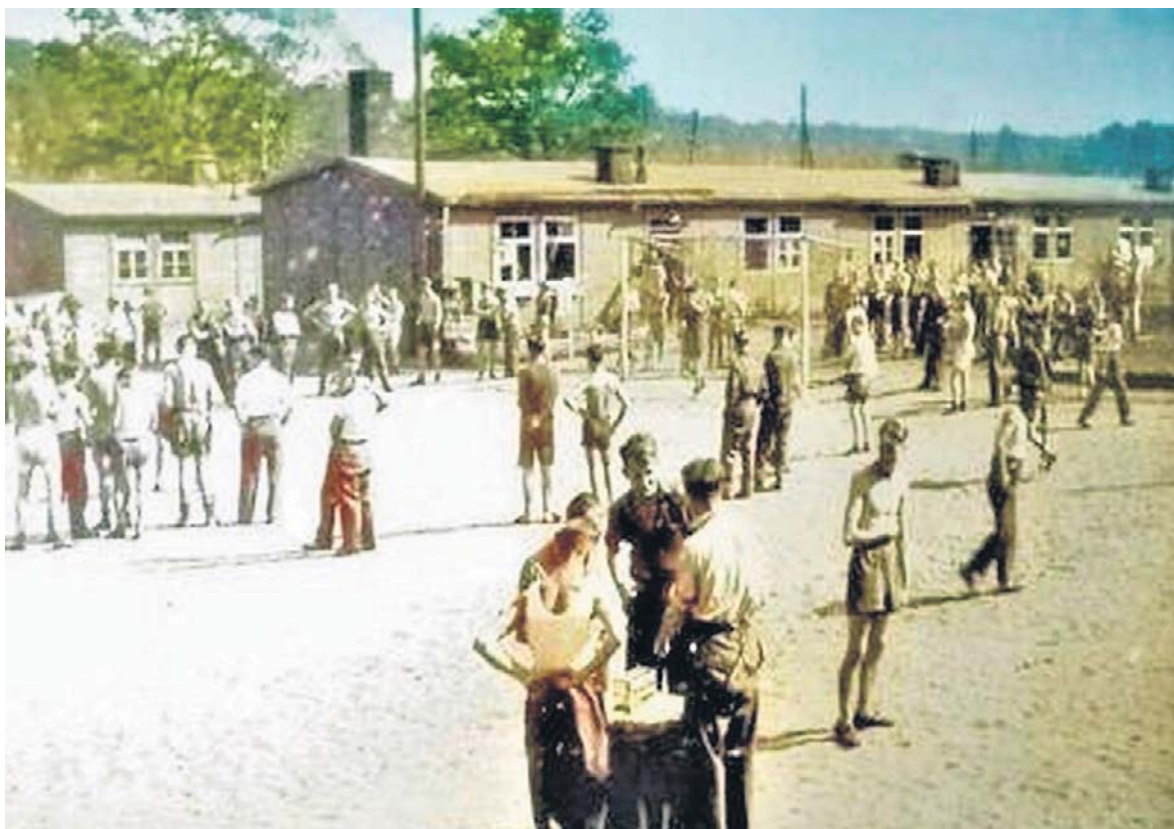
Wisła z dopływami

Odnaki, emblematy, symbole Polski Walczącej, ryngrafy z Matką Boską lub warszawską Syrenką czy zwyczajne damskie bibeloty wycinano z puszek po konserwach. Szczególnie chętnie - z opakowań kanadyjskiego masła, przesyłanego do obozu przez Czerwony Krzyż. Lakierowane były na czerwono i miały stosunkowo mało napisów.

Przed laty do zbiorów Centralnego Muzeum Jęńców Wojennych trafiło kilkanaście takich pamiątek, zrobionych przez Lidię Tazbir, pseudonim „Wisła”, i jej trzy córki. Wszystkie były w konspiracji i powstaniu. W stalagu mówiono o nich żartobliwie „Wisła z dopływami”. - „Wisła” to ciotka mojego męża Janusza - wyjaśnia Julia Tazbir, żona zna-



Ta bransoletka z obozowego nieśmiertelnika należała do Zofii Arcimowicz.



Obóz jęńcecki w Łambinowicach latem 1944 r.

nego profesora historii. - A „dopływy” to jej córki: Wanda, Bożena i Lesława. Lidia urodziła się jeszcze w 1888 roku, choć nigdy się do tego nie przyznała.

W czasie I wojny światowej była w Polskiej Organizacji Wojskowej, w wojnie polsko-sowieckiej udzielała się w samoobronie na Lubelszczyźnie. A Wanda jeszcze przed wojną była harcerką i instruktorką „Nieprzetartego Szlaku” i nabyte w obozie umiejętności wykorzystywała po wojnie w pracy z podopiecznymi. Wszystkie niestety już nie żyją - dodaje pani Julia Tazbir.

W październiku 1944 roku kilkunastoletniemu Zbigniewowi Śliwowskiemu, ps. „Hobo”, dowódcy drużyny w oddziale harcercskim „Żbik”, przełożeni kazali w ramach zajęć obozowych robić ozdoby choinkowe. - Czy to znaczy, że będziemy tu siedzieć do Bożego Na-

Powstańcy warszawscy, wśród których po raz pierwszy w dziejach wojen było tak wiele kobiet, wprowadzili zamieszanie w rytm jęńceckiego życia

rodzenia? - pytał z rozgoryczeniem młody żołnierz.

Na ściankach lampionu, jaki wykleił w końcu z papieru i bibułki, widniały kotwica Polski Walczącej, orzeł w koronie, syrenka warszawska i odznaka oddziału. Lampion zajął się od świeczki na choince w Stalagu Moosburg, do którego Zbigniewa Śliwowskiego przeniesiono w październiku 1944 roku, i odznaka oddziału spłonęła. Przechowane przez powstańca pozostałe trzy elementy lampionu można dziś oglądać na stałej ekspozycji w Łambinowicach.

Bluzeczka w pepitkę

Niezwykłą pamiątkę przekazała Łambinowickiemu muzeum we wrześniu 2009 r. Zofia Książek-Bregułowa. Obdarzona talentem aktorskim i pięknym głosem absolwentka konspiracyjnego Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Warszawie była łączniczką w zgrupowaniu AK „Kybar”.

5 września 1944 r. eksplozujący pocisk zranił jej nogi, klatkę piersiową, głowę i oczy. Straciła wzrok. W powstańczym szpitalu przed wywózką do obozu jęńceckiego dostała od znajomej kawałek materiału. Pielęgniarka zawięła jej w tę tkaninę ręcznik, mydło, szczoteczkę i pastę do zębów.

Był to cały majątek, jaki ranna łączniczka ocalała z Warszawy. W jednym z obozów, przez które przeszła, koleżanka uszyła jej z tego skrawka materiału sukienkę, w której występowała, śpiewając dla towarzyszy niedoli.

Po wojnie znalazła się w Edynburgu, w szpitalu im. Paderewskiego, gdzie po operacji odzyskała częściowo wzrok w prawym oku. Do Polski wróciła w 1947 roku. Pracowała w Polskim Radiu w Warszawie, w latach 1949-1951 występowała na deskach Państwowego Teatru Ziemi Opolskiej.

Pracowała też w teatrach w Zabrzu i Katowicach, gdzie dziś mieszka. Podniszczoną sukienkę przerobiła na bluzeczkę, z którą nie rozstawała się aż do przekazania do muzeum. - To nie takie proste - oddać ten kawałek materiału, gdy trochę odzyskałam wzrok, zobaczyłam, jaka to piękna pepitka - mówiła wówczas. - Jest w niej wszystko, co mi zostało po mojej ukochanej Warszawie.

Ziemia przeklęta

- Łambinowice stały się już w XIX wieku swoistą ziemią przeklętą - mówi dr Violetta Rezler-Wasilewska. - Jeszcze przed wojną francusko-pruską był tu poligon, w jej trakcie powstały obozy jęńceckie. Ta ziemia dosłownie spłynęła krwią.

Znajduje się tu największy w Europie zespół cmentarzy jęńceckich. Powstańcy warszawscy, cokolwiek by mówić o tragicznych okolicznościach, w jakich trafili do łambinowickiego stalagu, młodzi, dumnie rozśpiewani, wśród których po raz pierwszy w dziejach wojen było tak wiele kobiet, wprowadzili mnóstwo zamieszania w ustabilizowany na swój sposób rytm jęńceckiego życia.

Pamiątki po nich są bezcenne. Przez te przedmioty, z których każdy ma swoją historię, najłatwiej nam dziś dotrzeć z opowieścią o tamtych czasach do dzieci i młodzieży.

* Tekst powstał w 2011 r.

PRAWO



29.07 w Kuźnicy Starej Jakub Sz. swoim BMW uderzył w 9-letniego Fabiana. Chłopiec nie przeżył. Kierowca był odurzony narkotykami (nie pierwszy raz!) i miał sądowy zakaz kierowania pojazdami. Ta tragedia pokazuje, jak kończy się nieskuteczne w Polsce eliminowanie takich osób z ruchu drogowego

Odurzeni i z sądowym zakazem jazdy - wiozą śmierć! Czy szybkie sądy pomogą?

Jakub Sz., który w lipcu zabił 9-letniego chłopca na Śląsku, kolejny raz prowadził auto po narkotykach; miał sądowy zakaz kierowania. Taki zakaz w kraju ma ponad 200 000 kierowców - wielu go jednak łamie. Jak ich skutecznie eliminować z polskich dróg? Może pomóc osądzanie w trybie 48-godzinnym.

Małgorzata Oberlan

Tragedią z 29.07, do której doszło w Starej Kuźnicy (powiat kłobucki) na Śląsku, żyła cała Polska. Tego dnia wieczorem Jakub Sz., kierując BMW po narkotykach (kolejny już raz) uderzył w 9-letniego chłopca. Fabian jeździł rowerem przed swoim domem.

Dziecko uderzenia nie przeżyło - zmarło w nocy w szpitalu. Opinią publiczną dodatkowo wstrząsnęło to, jak zachował się po wypadku kierowca i kim był. Otóż po uderzeniu nie szukał ratunku dla chłopca, tylko chełpił się tym, że to „on prowadził ten samochód”. Potem też jego reakcje były nie-normalne. Jak się okazało, 39-letni Jakub Sz. krytycznego wieczoru prowadził samochód pod wpływem narkotyków. W samochodzie natomiast miał jeszcze 29 gramów towaru. Jechało z nim dwoje pasażerów po trzydziestce. Kierowca był przestępcą drogowym. Nie miał prawa w ogóle siadać za kierownicą - nawet całkowicie trzeźwy i przytomny. Miał bowiem sądowy zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych na okres pięciu lat - za jazdę motocyklem po narkotykach, ucieczkę

przed policją i posiadanie środków odurzających.

Ponad 200 tys. kierowców z sądowym zakazem

Po tym dramacie znów - na kilka dni przynajmniej - rozgorzała publiczna dyskusja. Znów o tym, jak to możliwe, że piraci drogowi z sądowymi zakazami kierowania - nawet dożywotnimi czy wielokrotnymi - mają je w nosie, notorycznie je łamią i dosłownie wiozą śmierć. Znów, bo dyskusja taka pojawia się w Polsce od lat regularnie, gdy dochodzi do tragedii w podobnych okolicznościach.

Obecnie w kraju jest ponad 200 tys. kierowców z aktywnym zakazem kierowania wszelkimi pojazdami mechanicznymi. Niektórzy mają te zakazy orzeczone przez sądy dożywotnio (ponad 70 tys.). Około 36 tys. z tego grona ma te zakazy orzeczone wielokrotnie - od dwóch do nawet kilkunastu razy! Skąd te sądowe zakazy? To skutki pijanych rajdów, piractwa drogowego, spowodowanych wypadków. Decyzją sądów ich sprawcy mają być wyeliminowani z ruchu drogowego - na kilka lat albo i na zawsze. Niestety, co roku polska policja zatrzy-

muje ponad 15 tys. kierowców łamiących zakaz. To tyle, ile liczą sobie małe miasteczka.

Od nowelizacji Kodeksu karnego w 2017 r. za złamanie takiego prawomocnego zakazu prowadzenia grozi kolejny zakaz - od roku do lat 15, a nawet kara więzienia od 3 miesięcy do lat 5. I cóż z tego wynika? W praktyce niewiele, jak się okazuje, bo problem wciąż istnieje i boli.

Szybki osąd i nieuchronność kary - wg ekspertów - tylko one mogą skutecznie podziałać. Być może rozwiązaniem jest stosowanie tzw. szybkich sądów wobec kierowców pijanych, odurzonych, łamiących sądowe zakazy jazdy. Tak już się dzieje choćby w Kujawsko-Pomorskiem.

„Tryb 48 h” - przyspieszony

Jak działa tryb przyspieszony osądzania? Dzięki niemu nietrzeźwy kierowca i/lub łamiący sądowy zakaz kierowania, zatrzymany na gorącym uczynku, może w ciągu 48 godzin stanąć przed sądem i usłyszeć wyrok. W tym czasie wszyscy: od policji przez prokuratora po sąd muszą się zmieścić.

Dotąd w Polsce tryb ten najczęściej stosowany był wobec tzw. stacionowych bandytów. Można go jed-

nak stosować także wobec przestępców drogowych w określonych sytuacjach. Tak się już dzieje także w Kujawsko-Pomorskiem, a ostatnie przypadki - nagłaśniane przez policję i prokuraturę - są tego dowodem.

Zacznijmy od Bydgoszczy. Tutaj 56-letni kierowca recydywista usłyszał wyrok już nazajutrz po tym, jak wpadł w ręce policji 18.07 na ul. Bydgoskiej w Brzozie. - Za nic miał trzy sądowe zakazy, w tym dożywotni, prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych. Ponownie jechał autem, mając ponad 2 promile alkoholu w organizmie - tak ujmuje w skrócie sytuację kierowcy Seata Cordoby nadkom. Lidia Kowalska z Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy.

Mężczyzna trafił do policyjnego aresztu. Policjanci zajęli się gromadzeniem materiału dowodowego. Udowodnili mu również 8 wykroczeń, które popełnił, jadąc seatem z Nowego Dąbia w kierunku Bydgoszczy. Były to m.in. przekroczenie podwójnej linii ciągłej, brak sygnalizowania manewru zmiany pasa ruchu.

Potem sprawą zajęli się śledczy z komisariatu na bydgoskich Wyżynach, którzy wdrożyli tryb przyspieszony, w ramach którego w ciągu 48 godzin podejrzany musi stanąć przed sądem. Tak też się stało. 20.07 Sąd Rejonowy w Bydgoszczy ogłosił wyrok: rok bezwzględnej więzienia, 10 tys. zł do zapłaty, przepadek auta i podtrzymanie w mocy dożywotniego zakazu jazdy.

Wtorek, 21.07, godz. 20.50. O tej porze właśnie Kamila Ś. zatrzymała policja przy ul. Poznańskiej w Toruniu. Prowadził on Citroena pijany. W pierwszym badaniu alkomat wskazał ponad 1,6 promila alkoholu, w kolejnym - na ponad 1,4. Policjanci ustalili, że Kamil Ś. był już wcześniej prawomocnie skazany przez Sąd Rejonowy w Bydgoszczy za pijaną jazdę. Miał orzeczony sądowo zakaz kie-

rowania wszelkimi pojazdami, ale go łamał. Za to niestosowanie się do zakazu skazany był już w przeszłości przez Sąd Rejonowy w Toruniu.

Wypadki potoczyły się szybko. Już następnego dnia, czyli 22.07, Komisarjat Policji Toruń - Rubinkowo skierował do Sądu Rejonowego w Toruniu wniosek o rozpoznanie sprawy tego kierowcy w postępowaniu przyspieszonym. Rozprawa w sądzie odbyła się 23.07. Oskarżony przyznał się do jazdy na podwójnym gazie. - Sąd uznał Kamila Ś. za winnego zarzucanego mu czynu i wymierzył karę 5 miesięcy pozbawienia wolności, świadczenie pieniężne w wysokości 10 tys. zł na rzecz Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej, dożywotni zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych i przepadek pojazdu - przekazuje prokurator Izabela Oliver, rzeczniczka toruńskiej prokuratury.

Tryb przyspieszony sądy zastosować mogą też wobec trzeźwych kierowców, którzy łamią sądowe zakazy kierowania. 26.07 funkcjonariusze z Podgórza w trakcie patrolu zwrócili uwagę na dostawczego Volkswagena. Nie spodobał im się jego stan techniczny i zatrzymali go do kontroli. - Kierowcą był 33-letni mieszkaniec pobliskiej miejscowości. Podczas sprawdzania w bazach danych okazało się, że mężczyzna był już w konflikcie z prawem i nie powinien siadać za kółko. Miał dwa aktywne zakazy prowadzenia pojazdów mechanicznych orzeczone przez sąd, które obowiązywały jeszcze przez kolejne 24 miesiące. Został zatrzymany i trafił do policyjnej celi - relacjonuje mł. asp. Sebastian Dobrzeński z Komendy Miejskiej Policji w Toruniu.

Już 27.07. policjanci doprowadzili 33-latkę do Sądu Rejonowego w Toruniu w trybie przyspieszonym. Mężczyznę skazano na 2 lata prac społecznych, dożywotni zakaz prowadzenia i 10 tys. zł do zapłaty. ©

Projekt ustawy: obowiązkowa kara bezwzględnego więzienia

Nietrzeźwi kierowcy to nadal wielki problem na polskich drogach. Jak pokazują policyjne statystyki, tylko w ub. roku funkcjonariusze ujawnili ponad 95 tys. takich przypadków. To właśnie pijani za kółkiem spowodowali 1141 wypadków. 124 osoby zmarły, a 1439 odniosło obrażenia. Jak wynika z policyjnych zestawień, najwięcej wypadków po alkoholu (blisko 41 proc.) powodują kierowcy w przedziale wiekowym 25-39 lat. Najwięcej zdarzeń z udziałem alkoholu odnotowuje się w weekendy - w soboty (19 proc.) i niedziele (20,1 proc.).

Prawo i wymierzone kary są coraz surowsze, ale problem wciąż istnieje. Przypomnijmy, że w 2024 r. wprowadzono w Polsce przepisy o wypadku aut pijanych kierowców. Przełożyły się one na tysiące orzeczeń sądowych i miliony zasilające Skarb Państwa w 2025 r. Zdaniem ekspertów wpłynęło to przynajmniej na ograniczenie najtragiczniejszych wypadków. W planie jest jeszcze jedna ważna zmiana prawna. Za złamanie sądowego zakazu prowadzenia auta przez kierowcę, który jest pijany, sąd będzie musiał wymierzyć karę więzienia. Tylko w szczególnie uzasadnionych przypadkach nadal będzie mogła być to kara w zawieszeniu - wynika z projektu ustawy, do którego dotarła „Rzeczpospolita” (3.08).

PULS*regionów*

Polacy uwikłani
w wakacyjne
remonty - Str. 20

ZAPISKI FRAKCJI PRZYTOMNYCH

ADAM BUŁA

szef newsroomu centralnego



Polski skok cywilizacyjny

Jedna z obserwacji z wakacyjnego pobytu w nadmorskiej miejscówce: wciąż, choć z roku na rok jakby rzadziej, na poboczach leśnych dróg można się natknąć na ślady konsumpcji fajnopolaków. Ale – co wydało mi się dość niesamowite: żadna z porzuconych w runie puszek nie była zgnieciona!

Drobiazg? Może niekoniecznie. W końcu ta największa, nasza historyczna solidarność nie wystartowała, jak sobie dziś opowiadamy, ze wzniosłych pobudek, tylko po podwyżce cen mięsa i wędlin. Wyrzucenie Anny Walentynowicz ze stoczni i brak wolności słowa były dalej w kolejce...

Drobiazg? Może niekoniecznie, gdy choć na chwilę włączy się dzisiejszy bełkot wierchuszki Konfederacji, która umyśliła sobie zapunktować w Narodzie pomysłem ustawy o likwidacji systemu kaucyjnego. Szczerze mówiąc, ze zdumieniem już wcześniej patrzyłem na liczne głosy osób publicznych, pomstujących, że tym systemem Unia robi z Polaków meneli, targających worki puszek do punktu skupu.

Owszem, system, a właściwie jego niedostatki, są dość irytujące, ale co takiego strasznego nam się stało? Przez system kaucyjny puszka dostała swoją wartość – i choć jest ona niewielka, wystarczyło, by zyskała troszkę większy szacunek. I mniej ich kończy jako śmieci, rzucone gdziekolwiek. A jak już trafi się osoba niskiej kultury, zostawiająca śmieci np. w lesie, to jednak wykazuje ona – taka moja obserwacja – ten pierwotny, polski odruch solidarności i porzuconej puszkę nie zginała. A nuż ją znajdzie w większej potrzebie akurat będący menel...

Wcześniej podobnie uczono nas chodzenia na zakupy z własnymi, wielokrotnego użytku siatkami i torbami, gdy dyskontowe foliówki też nabrały – też symbolicznej – ale jednak wartości. Wcześniej jeszcze ci sami „prawdziwi Polacy” walczyli z segregacją śmieci, itd., itp. I co nam się takiego wielkiego działo?

Cywilizacja Zachodu to nie jest łatwy kawałek chleba, ale naprawdę jest czego bronić. Z poprzednich wakacji pamiętam szok z kaspijskich plaż – niewyobrażalnego dla bywalca Bałtyku śmietnika...

Cywilizacja Zachodu ma wielkie osiągnięcia i wyznaje wzniosłe wartości, ale – upraszczając – 50 groszy w te lub wte też nieźle działa i potrafi wprawić nas w ruch. A jeśli nadawany kierunek jest ogólnie OK – to w czym problem? Człowiek Zachodu ponarzeka, ale przeżyje znów zepsuty kaucyjny automat. Tylko mentalnie Wschodni Konfederata musi mieć z tym „cywilizacyjny” problem. To niech spada na zasyfione plaże na Kaukazie.

To jest zresztą odprysk dużo większej refleksji, pod uwagę tym, którzy podniecają się niskimi i wciąż spadającymi, sondażowymi notowaniami rządu. Na tle Zachodu Polska wyróżnia się nie tylko schludnością miejsc publicznych – od niedawna – ale też – od zawsze – zamiłowaniem do narzekania. Może dla czego jednocześnie ci sami Polacy biją sondażowe rekordy w ocenie poziomu życia, a udział osób zadowolonych z warunków materialnych swoich gospodarstw domowych w cyklicznym badaniu CBOS osiągnął niesamowity poziom 67 proc.?

Więc może nie do końca jest pewne, jak zachowują się ci, którzy źle oceniają dziś rząd, gdy za chwilę przyjdzie im decydować, czy pozwolić komuś z inną, bardziej Wschodnią „świadomością”, majstrować przy ich „bycie”.

ADAM.BUŁA@POLSKAPRESS.PL

Z CZEGO JUTRO...?

ANDRZEJ SADOWSKI

Centrum im. Adama Smitha



Polacy jak marynarze, czyli wszyscy bez PIT z domniemaniem niewinności

Szkodliwość podatku od dochodów osobistych kolejny raz i to zgodnie potwierdził rząd, parlament i prezydent. Arytmetyka strat powodowana stosowaniem PIT jest zatem powszechnie znana rządzącym warstwowi politycznym.

W uzasadnieniu likwidacji podatku PIT dla marynarzy w ustawie o wsparciu przedsiębiorstw żeglugowych podpisanej przez Prezydenta RP, która to ma stanowić „ważny krok w kierunku odbudowy potencjału polskiej gospodarki morskiej” jednym z kluczowych jej elementów jest właśnie likwidacja ograniczeń w zwolnieniu ich dochodów z podatku PIT.

Dotychczasowe przepisy zwalniały z podatku dochodowego od osób fizycznych jedynie określoną grupę marynarzy. Zwolnienie było też uzależnione m.in. od obywatelstwa marynarza oraz od konieczności przepracowania co najmniej 183 dni w roku na statkach morskich spełniających ustawowe warunki, co sprawiało, że część osób wykonujących pracę na morzu nie mogła z niej skorzystać mimo wykonywania pracy o takim samym charakterze. Uchwalona, a podpisana przez prezydenta ustawa usuwa te ograniczenia. Celem zmiany nie jest uszczelnienie, tylko „uproszczenie zasad opodatkowania dochodów marynarzy oraz zwiększenie atrakcyjności wykonywania zawodu marynarza”. Lektura uzasadnienia skłania do logicznie nasuwających się pytań zarówno do prezydenta, premiera i reszty osób zasiadających w parlamencie Polski. Jeżeli likwidacja podatku PIT dla marynarzy „zwiększa atrakcyjność wykonywania” tegoż zawodu, oznacza to, że wobec pozostałych zawodów utrzymywanie podatku od dochodów osobistych służy jawnemu pogarszaniu dla nich warunków i jest tym samym działaniem przeciwko dobrostanowi społecznemu i gospodarce Polski. W świetle przedstawionego uzasadnienia likwidacji PIT dla marynarzy nie ma logicznego i również moralnego uzasadnienia dla jego utrzymywania wobec obywateli wykonujących inne zawody.

W sytuacji zwolnienia osób do 26. roku życia z PIT czy wynagrodzeń współpracowników służb za donosy oraz 130 różnych kategorii wyłączeń spod miotła tego podatku – co jest ewidentnym rozszczelnianiem PIT w przeciwieństwie do nieustannego uszczelniania podatku VAT – uporczywe jego podtrzymywanie, a zwłaszcza od wypłaty emerytur i rent, jest działaniem przeciwko zbiorowym interesom polskich obywateli.

Skrajnie absurdalne jest utrzymywanie naliczania i płacenia przez rząd samemu sobie tego podatku od wypłacanych emerytur i rent, które w roku 1992 „ubruttowił”. Czas i pieniądze, jakie są marnowane od ćwierćwiecza za sprawą jałowego „ubruttowania” świadczeń społecznych – ale pożerającego realnie wymierne wartości i przynoszące wyłącznie stratę – powinny zostać wreszcie uznane i ukarane jako zbrodnia przeciwko umysłowi ludzkiemu i jak zbrodnia przeciwko narodowi polskiemu.

Kolejnym dowodem na szkodliwość utrzymywania podatku dochodowego dla obywateli jest ułaskawienie od niego na okres 4 lat osób powracających z zagranicy do Polski. W przeciwieństwie do nieustannego rozszczelniania podatku PIT podatek VAT jest wzorem uszczelniania, który sprowadzono do jednej zasady. W roku 2016 władza zaordynowała jednolity plik kontrolny, w 2017 karę do 25 lat pozbawienia wolności za „zbrodnię vatowską”, od 2018 realnie zniosła tajemnicę bankową i dała urzędnikowi prawo blokowania rachunku do 3 miesięcy bez wyroku sądu w ramach STIR, od 2018 split payment, od 2019 sankcje za płatność na rachunek spoza wykazu tzw. białej listy podatników VAT, od 2020 kasy fiskalne online, od 2020 nową matrycę stawek VAT z pakietem „SLIM VAT”, a od 2026 KSeF. 17 lipca 2026 politycy ponad porównanymi dla wyborców podziałami uznali, że w VAT rozstrzygająca jest mimo wszystko jedna zasada, zasada zbiorowej odpowiedzialności uczciwych za przestępstwa popełnianie przez nielicznych, a którzy do momentu prawomocnego skazania korzystają z domniemania niewinności.

Od roku 2004 gotowy jest projekt Centrum im. Adama Smitha ustawy o zmianie systemu podatkowego przygotowanej pod kierownictwem Krzysztofa Dzierżawskiego, która likwiduje PIT i CIT i zastępuje je prostymi typu „win - win” i dla rządu, i dla obywateli. Wszyscy powinni mieć takie same prawa jak marynarze i przestępcy, czyli dochód bez PIT oraz domniemanie niewinności, aż do prawomocnego wyroku sądu.

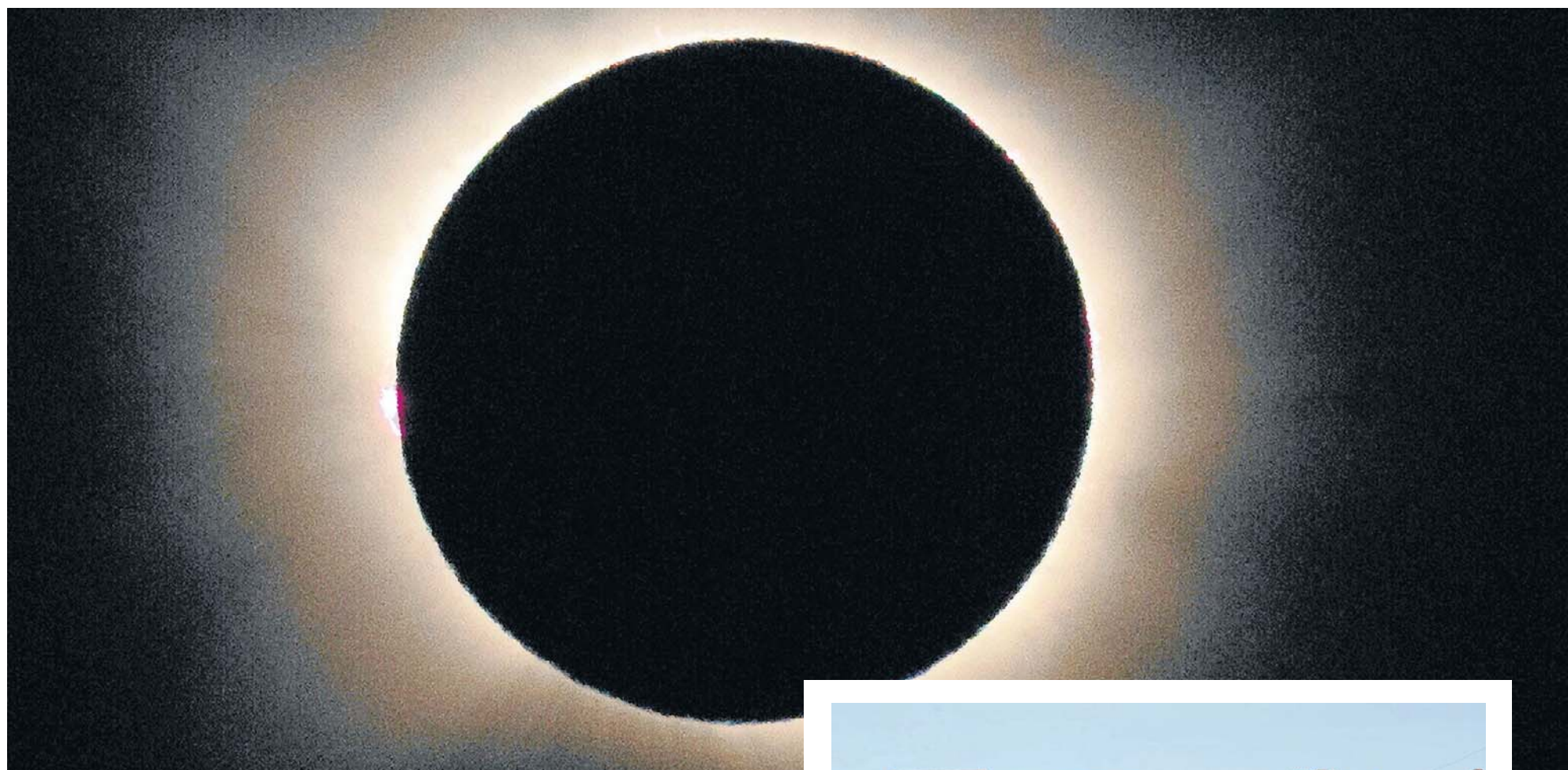
Andrzej Sadowski założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha - pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 r.

Krzysztof Gawkowski, minister cyfryzacji w reakcji na informacje o wycieku danych: Zastrzeżcie swój numer PESEL. Zastrzeżenie numeru PESEL w mObywatelu trwa 5 sek. Można wyłączyć to zastrzeżenie w 20 sek.



FOT. ADAM JANKOWSKI

STOPKLATKA



FOT. PAP/EP/AMARTA PEREZ



Ostatni raz tak imponujące zaćmienie słońca w Europie można było oglądać w 1999 r. Nic więc dziwnego, że 12 sierpnia na naszym kontynencie nie mówiło się właściwie o niczym innym. To niezwykle zjawisko przyrodnicze zawsze robi ogromne wrażenie. Tym razem głównie w Hiszpanii, gdzie słońce znikło niemal całkowicie. W Polsce było przysłonięte w ponad 80 proc.



FOT. PAP/EP/AMOHAMED MESSARA



Kto wie, czy to nie jest jeszcze bardziej charakterystyczne zdjęcie niż sama fotografia przysłoniętego słońca - ludzie przyglądający się zaćmieniu. Style najróżniejsze: od profesjonalnych okularów, przez przyciemnione szybki po durszlaki. Ale bez względu na wybraną formę, jedno łączyło wszystkich: autentyczne zdumienie tym cudem natury



Fregata ORP „Wicher” zwodowana. Jej budowa trwała cztery lata i kosztowała 15 mld zł. To pierwsza z trzech jednostek wodnych tej klasy, która ma wzmocnić naszą Marynarkę Wojenną. Od 2021 r. w Polsce zwodowano sześć nowych okrętów. Będzie co oglądać podczas Parady Morskiej zaplanowanej na 15 sierpnia w Gdyni, gdzie pojawi się łącznie 20 jednostek



FOT. PAP/ANDRZEJ JACKOWSKI



Zaćmienie słońca nie było jedynym zjawiskiem przyrodniczym, które przykuło w tym tygodniu uwagę świata. Innym stało się uaktywnienie wulkanu Etna - na tyle mocne, że pobliskie lotnisko w Katanii odwołało wszystkie 700 lotów



FOT. PAP/EP/ORIETTA SCARDINO

SPOŁECZEŃSTWO

Uwikłani w wakacyjne remonty

Zamiast w góry albo na plażę - do marketu budowlanego. Zamiast chodzenia po szlakach, wypoczynku na łonie natury, zwiedzania – gruntowanie i malowanie ścian, ewentualnie przycinanie paneli. Ponad połowa z nas wakacyjne urlopy, a przynajmniej ich część, przeznaczą na remonty swoich mieszkań i domów

Dorota Kowalska

Marta, 54-latką, czynną zawodowo, mieszka w sporym mieście na północy Polski. Mąż też wciąż pracuje, córka dwa lata temu wyprowadziła się z domu i poszła na swoje. Z remontem mieszkania zwlekali, ile mogli.

- Musieliśmy odmalować pokój Julki, bo po jej wyprowadzce wyglądał źle: córka pozabierała plakaty, które wisiały na ścianach, inna rzecz, że kolor ścian odpowiadał chyba tylko jej – Marta wybucha śmiechem. – Przedpokój i kuchnia też wymagały odświeżenia – dodaje.

Zawsze z drobnymi pracami radzili sobie sami. 10 lat temu robili remont całego mieszkania: zmieniali panele, wymieniali meble w kuchni, odmalowali wszystkie pomieszczenia. Pomagał brat męża i kolega.

- Nie wyobrażam sobie, gdybyśmy mieli wynająć fachowców. Pomalowanie trzypokojowego mieszkania to dzisiaj wydatek około 10 tys. złotych, wtedy też tanio nie było, kładzenie paneli na nasze mieszkania jakieś 3 tys., a to tylko robocizna – mówi.

W tym roku wzięli w lipcu dwa tygodnie urlopu: w pierwszym malowali, w drugim pojechali do znajomych na wieś, żeby wyszło taniej.

- Mówiąc szczerze, wszyscy nasi znajomi drobne remonty robią w domu sami. Co innego skuwanie kafli w łazience, kładzenie gładzi na ścianach, wymiana elektryki czy instalacji gazowej, tu bez fachowców się nie obejdzie. Ale samo malowanie nie jest problemem – tłumaczy. Wykorzystali urlop, bo inaczej byłoby im po prostu ciężko. Remont, to bałagan, chaos, nerwy. Poza tym, przekalkulowali to sobie tak: jeśli wezmą w pracy wolne, prace pójdą im szybciej, bo zaczynają rano, a skończą wieczorem. Zosta-

nie im jeszcze czas, żeby odpocząć. Założyli też sobie, że resztę czasu wolnego spędzą poza domem, gdzieś wśród zieleni, bo wyremontowanym mieszkaniem i tak zechcą się jeszcze nacieszyć. I tak właśnie zrobili.

Żeby było taniej

Marta i jej mąż nie są wyjątkiem. Jak wynika z raportu „Polacy uwikłani w wakacyjne remonty. Edycja 2026” UCE Research i platformy Fachurra.pl, blisko 60 proc. ankietowanych wskazało, że przynajmniej część urlopu przeznacza na naprawy, odświeżanie lub remont mieszkania. Największa grupa - 37,4 proc. ogranicza się do drobnych prac. 9,1 proc. respondentów zadeklarowało, że łączy prostsze prace polegające na odświeżeniu lokalu z większym remontem. 12,8 proc. badanych przyznało, że angażuje się w poważniejsze przedsięwzięcia remontowe. W sumie więc 59,3 proc. ankietowanych samodzielnie wykonało lub planuje to zrobić, przynajmniej część prac remontowych. Remontami podczas urlopu nie ma zamiaru się zajmować 28,3 proc. ankietowanych, a 12,4 proc. nie podjęło jeszcze decyzji w tej kwestii.

Autorzy raportu nie mają wątpliwości: popularność przeprowadzanych samodzielnie urlopowych remontów ma ścisły związek z systematycznie rosnącymi kosztami usług. Według danych pochodzących z bazy cenowej Sekocenbud, w II kwartale 2025 roku stawki robocizny netto były o 9,3-10 proc. wyższe niż rok wcześniej. W II kwartale 2026 roku zwiększyły się o kolejne 5,4-6,6 proc. rok do roku. Oznacza to, że w ciągu dwóch lat koszt robocizny wzrósł łącznie o około 15-17 proc., zależnie od rodzaju prac.



Wakacje to okres, gdy Polacy najczęściej decydują się na remonty. Malowanie mieszkania zwykle robią sami. Do cięższych prac bierze się fachowców

„Trend ten potwierdzają dane GUS. Ceny produkcji budowlano-montażowej wzrosły w czerwcu 2024 roku o 6 proc. rok do roku, w czerwcu 2025 roku o kolejne 2,9 proc., a rok później o kolejne 5,5 proc. W przypadku specjalistycznych robót budowlanych, obejmujących m.in. prace instalacyjne i wykończeniowe, wzrost w czerwcu 2026 roku wyniósł 6,5 proc. rok do roku. Nie jest to zatem jednorazowa zmiana, ale utrzymujący się proces podnoszenia kosztów robót” – piszą autorzy raportu.

I zwracają uwagę, że gospodarstwa domowe odczuwają nie tylko

wzrost kosztów robocizny, ale również materiałów, których ceny w latach 2021-2022 poszły w górę o jedną trzecią i utrzymują się na stabilnym wysokim poziomie.

„Oczywiście zakupu materiałów do prac remontowych nie da się uniknąć, niezależnie od sposobu realizacji remontu, ale wydatki na robociznę można przynajmniej częściowo ograniczyć, samodzielnie wykonując prostsze prace” – czytamy w raporcie.

Wśród prac, które można przeprowadzić samodzielnie, nie dysponując fachową wiedzą i zawodowymi umiejętnościami, znalazły się malowanie, gruntowanie, demon-

taż starych elementów, układanie paneli czy montaż listew.

„Fachowcom pozostawia się natomiast zadania wymagające specjalistycznej wiedzy, odpowiednich narzędzi lub uprawnień. Taki podział prac pozwala zmniejszyć całkowity koszt remontu bez rezygnacji z jego przeprowadzenia” – piszą autorzy „Polacy uwikłani w wakacyjne remonty. Edycja 2026”.

Bo, umówmy się, wykonując część remontu samodzielnie – po prostu oszczędzamy.

„Pomalowanie większego pokoju może ograniczyć wydatki nawet o 1-2,5 tys. zł. Przy odświeżeniu kilku pomieszczeń połączonym

z ułożeniem paneli i montażem listew, wartość prac, których nie trzeba zlecać wykonawcom, może wynieść około 3-6 tys. zł. Przy większym zakresie prostych robót oszczędność może sięgać około 5-11 tys. zł” - wskazali autorzy raportu, dodając, że rzeczywista korzyść finansowa zależy od metrażu, stanu powierzchni, zakresu prac przygotowawczych, lokalnych stawek oraz wydatków na zakup lub wypożyczenie narzędzi. Kalkulacja nie uwzględnia również wartości czasu przeznaczonego przez właściciela lokalu na samodzielne wykonanie prac.

„Urlop staje się w tym przypadku zasobem ekonomicznym, który osoby prowadzące prace remontowe inwestują w redukcję kosztów. Istotna pozostaje tu wycena własnego wolnego czasu. Dla części osób jest on cenniejszy niż rynkowe stawki za robociznę” - to podsumowanie raportu.

Odnawiamy na raty

Wojtek, 44 lata, zarabia w granicach 7 tys. złotych na rękę. Jeszcze sześć lata temu razem z żoną wynajmowali w jednym ze śląskich miast spore mieszkanie w kamienicy. Córka, Monika ze swoją rodziną - mężem i dwuletnim synem, także płacili za wynajem trzy-pokojowego lokum w bloku z wielkiej płyty.

- Postanowiliśmy wziąć kredyt i wspólnie kupić dom pod miastem. Znaleźliśmy taki, w stanie zamkniętym surowym. Ma dwa osobne wejścia: górę miała zamieszkiwać Monika z rodziną, my dół - opowiada mężczyzna: niewysoki, włosy do ramion, pełen energii.

Szybko obliczyli, że muszą wziąć 200 tys. złotych kredytu na wykończenie domu. Tak też zrobili. Było ciężko, bo wciąż wynajmowali mieszkania, a musieli już spłacać zadłużenie. Potem „ciężko”, zamieniło się w „tragicznie”. Przyszła wojna w Ukrainie, inflacja, podwyżki stóp procentowych, rata kredytu niemal się podwoiła. Ceny materiałów budowlanych też poszybowały w górę.

- Kiedy przyszedł fachowiec wycenić, ile weźmie za położenie wylewki w całym domu, stwierdził, że 8 tys. złotych, koniec końców wziął 19 tys., bo tak zdrożał materiał i koszty pracy - opowiada.

Za 200 tys. złotych zrobili połowę tego, co zamierzali zrobić. W dwie rodziny mieszały na paterze domu, piętro wciąż czekało na wykończenie.

- Grubsze roboty wykonywali fachowcy, drobne - my sami. Każdy urlop, każdą wolną chwilę poświęcaliśmy na remont. Wciąż tak właściwie jest: malowanie, kładzenie paneli, roboty na podwórku, wszystko to zrobiliśmy sami - wylicza.

W zeszłym roku młodzi przemieścili się na górę. Mogą tam mieszkać, ale cały czas coś jeszcze wykańczają, ulepszają. W tym roku po raz pierwszy od lat pojechali z żoną na urlop. Spędzili tydzień nad polskim morzem, ale drugi już w domu, bo tu zawsze jest coś do zrobienia, jak przekonuje Wojtek.

Także najnowsze badanie Nieruchomosci-online.pl pokazuje, że ponad połowa (55 proc.) wykonuje prace we własnym zakresie lub z pomocą bliskich, a połowa remontujących wydaje na ten cel nie więcej niż 15 tys. zł.

Z badania wynika, że 30 proc. respondentów wykonało ostatni remont samodzielnie, a 25 proc. przeprowadziło go samodzielnie, korzystając doraźnie z pomocy bliskich. Kolejne 20 proc. badanych wskazało, że część prac wykonało samodzielnie, a część zleciło fachowcom.

Co ciekawe, to właściciele domów częściej niż właściciele mieszkań przeprowadzają remonty samodzielnie. Za pędzel najczęściej chwytają osoby w wieku 35-44 lata, bo aż 70 proc. respondentów w tej grupie przeprowadziło ostatni remont samodzielnie lub przy wsparciu rodziny i znajomych.

Najczęściej wykonujemy drobne prace - odświeżamy pojedyncze pomieszczenia, coś tam modernizujemy, dokonujemy drobnych napraw, w każdym razie jedynie 18 proc. ankietowanych zadeklarowało, że ich ostatni remont miał charakter generalny.

Połowa respondentów przeznaczyła na ostatni remont nie więcej niż 15 tys. zł, przy czym znacząca część tej grupy zmieściła się w budżecie do 5 tys. zł. Kolejne 18 proc. badanych wydało od 15 tys. do 30 tys. zł.

Remont to ogromny stres

Ale mówiąc o remontach, nie można zapomnieć o innym, bardzo ważnym ich aspekcie. Według badania GfK „Polacy a stres” pierwsza trójka najbardziej obciążających emocjonalnie sytuacji w życiu prywatnym to problemy finansowe, choroba członka rodziny oraz własnie remont. Aż 66 proc. Polaków przyznaje, że remont i naprawy w domu są dla nich stresujące, a co trzeci badany przyznaje, że prace remontowe czy budowa domu to jedna z głównych przyczyn stresu w ich życiu.

Przesada? Wcale nie, wystarczy poczytać fora internetowe.

Internauta1: „Znajomi mnie raczą takimi tekstami, że prawie się rozwodzili podczas remontów: cięże dni, awantury. Jakże są wasze doświadczenia?”

Internauta2: „Niestety, stres jest ogromny. Zawsze pojawia się tysiąc niespodziewanych problemów, nawet przy dobrych fachowcach. Szczególnie, gdy inwestuje się duże

pieniądze, trudno jest uniknąć nerwów. Na zmianę klócił się z mężem, później się z tego śmialiśmy, a na końcu zawsze mówiliśmy, że teraz to już przeżyjemy wszystko”.

Internauta3: „Ja przed remontem też słyszałam opinie, że przez remont można się rozwieść. U mnie też były ogromne klótnie, bo nie zgadzaliśmy w wielu sprawach, ale jakoś przetrwaliśmy. Remont zaczęliśmy jeszcze przed ślubem, kończyliśmy po. Pokazał nasze różnice w charakterach tak naprawdę. Można by go robić przed ślubem jako test dla par”.

Internauta4: „Remont to małe miki. Budowa domu, to jest dopiero coś, co może doprowadzić do rozpacz, szczególnie, jak się non-stop trafia na nieuczciwych budowlanców. A jak się już w końcu wybuduje, to wtedy dopiero zaczyna się wykończeniówka, czyli odpowiednik remontu. My to jakoś przetrwaliśmy, ale łatwo nie było. Nigdy więcej”.

Internauta5: „Niestety to prawda. Nie wiem jak tam mały remoncik, u nas to była przebudowa i remont generalny nowo zakupionego domu. Powiedzmy, w zasadzie budowa od nowa. Ogromny stres, trwa już ponad rok, a jeszcze końca nie widać. Jest nadzieja, że do stycznia się wyrobimy. Powiem krótko: nie mieliśmy pojęcia, w co się ładujemy. Zrobiliśmy wcześniej mniejszy remont w mieszkaniu, poszło szybko. To jest w ogóle inny kaliber, ilość osób zaangażowanych: architekt, urzędnicy decydujący o pozwoleniu na budowę, inżynier, sąsiedzi, firma budowlana, elektrycy, firma sanitarno-grzewcza, kuchnia, banki. Ciągłe coś się opóźnia, coś idzie nie tak, ciągle trzeba się dokształcać i decydować. Budżet ciągle rośnie, co powoduje napięcia na tle finansowym, stres związany z szukaniem finansowania. Do tego jeszcze konflikty ze wszystkimi o jakość prac, terminy, faktury, przepisy. Już się parę razy przez to prawie rozstaliśmy i szczerze, już nie mogę się doczekać aż się skończy”.

Internauta6: „Ja się rozwiodłem z żoną po wybudowaniu domu, więc coś w tym jest”.

Co nas stresuje w remontach? Wybór fachowców, koszty i finanse, bałagan, chaos i brak prywatności, opóźnienia, strach o jakość wykonanych prac, ciągłe decyzje i wybory, którymi jesteśmy po prostu zmęczeni.

Kluczem do zmniejszenia stresu remontowego jest dobre planowanie. Zanim zaczniecie budowę, warto dokładnie rozplanować wszystkie etapy prac

ZUZANNA CICHOCKA
architektka

- Remont to zmiana sama w sobie, ale też element składowy zmian w naszym życiu. Prowadzi do dezorganizacji codzienności każdej rodziny: nikt nie robi tego, co zwykle, tylko biegamy za majstrami albo farbami czy płytkami. Remont to koniec rutyny, dającej poczucie bezpieczeństwa. Nawet założenie butów staje się problemem, bo gdzie one teraz są? Remont wyrzuca nas ze strefy komfortu. Jest sytuacją emocjonalnie krytyczną, gdy stanowi konsekwencję życiowych zmian: ślubu, pojawienia się dziecka czy odwrotnie, rozwodu. Bo wtedy stres remontowy dodaje się do tych emocji, które przeżywamy w związku z tym, czego doświadczyliśmy w życiu - mówiła dr Marta Majorczyk, doradca rodzinny w rozmowie ze Zwierciadłem”.

„The New York Times” opisywał kilka lat temu historię wartego kilka milionów dolarów loftu na Manhattanie. Jego właściciele, małżeństwo z 14-letnim stażem, poświęcili rok na stworzenie tam wymarzonego wnętrza. Dwa tygodnie po przeprowadzce do nowego mieszkania mąż oznajmił: „Koniec remontu i koniec małżeństwa”.

To ponoć nowojorski standard. Z przeprowadzonych w USA badań wynika, że 12 proc. małżeństw podczas budowy czy odnawiania domu rozważa rozstanie.

Znajdźmy czas na odpoczynek

Tak, remont to poważna sprawa i trzeba się do niego przygotować. Mamy i tak wystarczająco dużo stresu na co dzień i bez malowania, przestawiania mebli z trudem damy radę. Więc trzeba mentalnie przygotować się na zmiany: wcześniej dokładnie z rodziną ustalić, co dokładnie chcemy zrobić, nie przejmować się bałaganem, zachować spokój - bo remont kiedyś się przecie skończy i wróci normalność.

Zuzanna Cichocka architektka z zamyślenia, wykształcenia i zawodu pisze na swojej stronie tak, takie między innymi daje rady:

1. Dobrze zaplanuj budowę

Kluczem do zmniejszenia stresu jest dobre planowanie. Zanim zaczniecie budowę, warto dokładnie rozplanować wszystkie etapy prac, terminy i budżet. Spontaniczne decyzje mogą prowadzić do chaosu, a ten z kolei do dodatkowego stresu.

Przykład? Wyobraźcie sobie sytuację, w której remont mieszkania zbiega się z narodzinami dziecka. To ogromne obciążenie emocjonalne i organizacyjne. Dlatego tak ważne jest, aby jak najwięcej elementów zaplanować z wyprzedzeniem i unikać nakładania się stresujących sytuacji.

2. Zaplanuj budżet z zapasem

Jednym z największych źródeł stresu podczas budowy są koszty.

Dlatego tak ważne jest, aby zaplanować budżet z odpowiednim zapasem. W dzisiejszych czasach, gdy ceny materiałów i usług budowlanych są bardzo zmienne, warto założyć, że koszty mogą wzrosnąć o 10-20%.

Jeśli budżet jest napięty, warto rozważyć etapowanie prac. Dzięki temu nie musicie rezygnować z marzeń, a jedynie rozłożyć je w czasie. Pamiętajcie, że lepiej zrealizować projekt w kilku etapach niż narazić się na ogromny stres związany z brakiem środków.

3. Miej swój „azył”

W trakcie budowy warto mieć miejsce lub hobby, które pozwoli Wam się odprężyć i na chwilę zapomnieć o stresie. Może to być spacer, czytanie książek, sport czy spotkania z przyjaciółmi. Każdy potrzebuje chwili wytchnienia, zwłaszcza gdy codziennie mierzy się z wyzwaniami związanymi z budową.

Ja sama, pracując nad wieloma projektami jednocześnie, zawsze znajduję czas na swoje „pozytywne szaleństwo” - coś, co pozwala mi się zrelaksować i naładować baterie.

4. Wizualizuj efekt końcowy

Kiedy stres związany z budową wydaje się nie do zniesienia, warto przypomnieć sobie, dlaczego to robicie. Zamknijcie oczy i wyobraźcie sobie, jak będzie wyglądało Wasze wymarzone wnętrze. Jak będziecie się w nim czuli? Jakże emocje Wam towarzyszą? Taka wizualizacja pomoże Wam przetrwać trudne momenty i przypomni, że cały wysiłek jest tego wart.

5. Urlop po zakończeniu budowy

Wielu moich klientów decyduje się na urlop tuż po zakończeniu budowy. To doskonały sposób na odreagowanie stresu i powrót do nowego domu ze świeżym spojrzeniem. Warto zaplanować przeprowadzkę i sprzątnięcie tak, aby po powrocie z urlopu móc od razu cieszyć się nowym miejscem.

Jeśli nie macie siły na samodzielne sprzątnięcie i organizowanie przeprowadzki, warto zatrudnić profesjonalną ekipę. To niewielki koszt w porównaniu z komfortem, jaki zyskacie”.

Właśnie, remont i co dalej? Zaraz po nim do pracy?

Psychologowie nie mają wątpliwości: to zły pomysł. Po remoncie po prostu powinniśmy odpocząć, bo już przed nim byliśmy zmęczeni. Więc, jeśli już musimy odmalować ściany, coś tam w domu poprzestawić, to podzielmy nasz urlop na dwie części. I kiedy już skończymy wszystkie roboty, posprzątajmy po nich - wyjedźmy gdzieś naładować akumulatory. Dopiero po powrocie naprawdę docenimy to, jak wyglądają nasze cztery ściany.

BEZPIECZEŃSTWO

Gen. Jarosław Kraszewski: Defilada pokazuje, że nie warto nas atakować. Ale Polacy muszą wiedzieć, co robić po usłyszeniu alarmu

– Na defiladzie zobaczymy potęgę państwa: F-35, kolumny wojskowe i tysiące żołnierzy. Ale bez regularnych ćwiczeń Polacy nie będą wiedzieli, gdzie się schronić, komu wierzyć i jak uniknąć chaosu – ostrzega gen. Jarosław Kraszewski

Anita Czupryn

Panie Generale, czy lubi pan defilady? I co czuje żołnierz, kiedy widzi tysiące ludzi podziwiających wojsko?

Oczywiście, że lubię. Czuję wtedy, że naród jest wojskiem. Defilady są historycznie wpisane, może nie w naszą codzienność, bo na szczęście nie odbywają się codziennie, a wojsko nie jest wyłącznie od defilowania. A jednak defilada to moment, w którym pokazuje się społeczeństwu, że wydatki, nakłady i wsparcie płynące od obywateli oraz państwa nie idą na marne.

Co zobaczymy 15 sierpnia? Czy z defilady można wyciągnąć wnioski o rzeczywistej gotowości bojowej polskiej armii?

Defilada nie odbywa się po to, żeby pokazywać rzeczywistą gotowość bojową, bo temu służą inne przedsięwzięcia. Ma natomiast pokazać, ile nowego sprzętu, uzbrojenia, umundurowania i innego wyposażenia weszło do Sił Zbrojnych od czasu poprzedniej defilady. Pokazuje również, ilu mamy sojuszników, sprzymierzeńców i koalicjantów, którzy maszerują razem z nami, aby z radością, wspólnie ze społeczeństwem, celebrować Święto Wojska Polskiego.

Podczas tegorocznego Święta Wojska Polskiego zaprezentowany zostanie nowoczesny sprzęt, w tym samoloty F-35, które nazwano „Husarzami”. Czy trzy takie maszyny rzeczywiście zmieniają obraz naszego bezpieczeństwa?

Bez przesady. Trzy sztuki nie spowodują nagłej zmiany. Nie chodzi jednak o to, że teraz mamy trzy samoloty, a za chwilę będzie ich więcej. Ważne jest to, że Polska została zakwalifikowana, uzyskała niezbędne zgody i realizuje program wdrożenia samolotów F-35 do Sił Zbrojnych, a konkretnie do Sił Powietrznych. Pierwsze maszyny już są i latają, a przeszkoleni polscy lotnicy potrafią nimi operować. Kolejne pojawiają się niebawem. Nikt na świecie nie trzyma takiego uzbrojenia na półce w ma-

gazynie i nie czeka, aż przyjdzie klient. Jeżeli produkt jest dobry, a uzbrojenie dobre albo bardzo dobre, natychmiast jest rozchwytywane. Należy się cieszyć, że Stany Zjednoczone dopuściły nas do grona państw wyposażonych w F-35.

Z tego, co czytałam, jest to przede wszystkim latający komputer, swoiste centrum dowodzenia. Czy polska armia jest przygotowana, żeby wykorzystać wszystkie informacje, które zbiera taki samolot?

Czy to jest centrum dowodzenia? Według mnie centrum dowodzenia znajduje się gdzie indziej. Na pewno jest to samolot naszpikowany elektroniką, wielki latający komputer i środek gromadzenia danych rozpoznawczych. Ma też bardzo niski poziom wykrywalności. Przy odpowiedniej konfiguracji, gdy uzbrojenie, które zabiera ze sobą, pozostaje w komorach wewnętrznych, staje się niewidzialny dla radarów przeciwnika. Jest nam potrzebny właśnie do gromadzenia informacji w głębi operacyjnej przeciwnika: co przeciwnik robi, co zamierza zrobić, ile wojska przegrupowuje i w co to wojsko jest wyposażone. Oprócz satelit służą temu takie systemy jak F-35, bo sam samolot jest tylko jedną częścią znacznie bardziej rozbudowanego systemu. W jego skład wchodzi naziemne elementy dowodzenia i gromadzenia informacji, które cały czas rozbudowujemy i przebudowujemy, oraz szybkie trakty teleinformatyczne. Chodzi o to, aby dane zgromadzone przez taki samolot były dostępne natychmiast, żeby decydenci nie musieli czekać, aż maszyna wyląduje, lecz otrzymywali je jak najszybciej, w czasie zbliżonym do rzeczywistego, i mogli zdecydować, jak organizować walkę.

Z zapowiedzi wynika, że 15 sierpnia będzie na co patrzeć: tysiące żołnierzy, setki pojazdów, samoloty bojowe. Czy słusznie pocujemy się bezpiecznie?

Tak, słusznie pocujemy się bezpiecznie. Pokazując nowoczesny sprzęt i to, że potrafimy się

nim posługiwać, pokażemy również, że czynimy bardzo duże postępy w każdej domenie: powietrznej, lądowej, morskiej, a nawet kosmicznej i cybernetycznej. Nie jesteśmy nowicuszami, dajemy sobie radę. Przekaz tej defilady jest chyba jeden: nie warto nas atakować.

Czołgi i sprzęt są gotowe na wojnę, ale co z cywilami, z obywatelami? Czy defilada nie stworzy złudnego poczucia, że obronność jest wyłącznie sprawą ludzi w mundurach?

Proszę pani, obronność jest sprawą całego państwa. Wojna to domena ludzi w mundurach, ale obrona państwa, bo o niej mówimy, jest domeną całego państwa i narodu. Jakie państwo, jaki naród i jaka gospodarka, takie Siły Zbrojne.

Co konkretnie oznacza, że każdy obywatel uczestniczy w obronie kraju? Łatwo zamienić to w zgrabny, dobrze brzmiący, patriotyczny slogan.

Często utożsamiamy udział w obronie z tym, że jak przyjdzie co do czego, każdy będzie musiał założyć mundur i zostanie zmobilizowany. Kiedyś myślano tak o mężczyznach; dziś sytuacja się zmieniła, kobiety również idą do wojska. Absolutnie nie należy jednak widzieć tego w taki sposób. Mamy zasoby rezerwowe i mobilizacyjne, które będą mobilizowane. Spójrzmy na Ukrainę. Funkcjonują tam system ochrony zdrowia, straż pożarna, policja, kolej, szeroko rozumiany transport i przemysł. My wszyscy, którzy jesteśmy aktywni zawodowo, niekoniecznie będziemy nosić mundur, ale na pewno będziemy uczestniczyć w obronie państwa. Polski przemysł zbrojeniowy musi dostarczać sprzęt, transport musi działać, podobnie opieka zdrowotna, straż pożarna i policja. Wszystko w państwie musi funkcjonować. Jeżeli przestaje, zbliżamy się do rychłego upadku państwa i przejęcia go przez przeciwnika.

Tylko czy państwo uczciwie powiedziało obywatelom,

czego będzie od nich oczekiwać w czasie kryzysu?

Tego pani nie powiem, bo nie do mnie należy ocenianie czynnika politycznego. Nie jestem politykiem. Możemy rozmawiać o wojску, ponieważ sądzę, że dość dobrze się w tym orientuję. Nie chciałbym natomiast podejmować polemiki dotyczącej państwa jako podmiotu stosunków międzynarodowych, czyli głowy państwa, rządu i tak dalej. Po pierwsze: czy mamy dokument, w którym zapisano, co państwo powinno powiedzieć obywatelom?

Mamy „Poradnik bezpieczeństwa”, program „wGotowości” oraz powszechne warsztaty ochrony ludności, które już się rozpoczęły. Jak pan to ocenia? Czy to początek systemu, czy jednak zbiór dobrowolnych inicjatyw skierowanych do najbardziej świadomych osób?

Dobrze, że to mamy. Proszę zauważyć, co działo się w Ukrainie. Tam wcześniej nie było takich rozwiązań, a podstawowych rzeczy zaczęto uczyć ludzi dopiero po wybuchu wojny. Moim zdaniem jest to za późno. Na szczęście Ukraińcy szybko odrobili zaległości, ale kosztem strat wśród ludności cywilnej. Wiadomo, że Rosjanie od początku wojny atakują cywilów. Gdyby jednak społeczeństwo znało określone zachowania i regularnie, cyklicznie je ćwiczyło, sytuacja wyglądałaby inaczej. Mamy ostatni przykład z rakietą na Lubelszczyźnie. Z 17 powiatów, w dziesięciu nie zawyły syreny. Tam, gdzie zawyły, mało kto podjął jakiegokolwiek działania. To nie jest wina tych ludzi. Ważne, żebyśmy to zrozumieli. Jeżeli uczeń wychodzi nieprzygotowany ze szkoły podstawowej, nie jest to wina ucznia, tylko systemu.

Panie Generale, czego wojna w Ukrainie nauczyła nas o roli cywilów? Co okazało się najważniejsze?

O roli cywilów chyba zbyt mało mówimy, korzystając z doświadczeń ukraińskich. Pojawiają się zdawkowe hasła, że Ukraińcy produkują drony. W przekazach widzimy mera Kijowa Witalija

Kliczkę i innych, którzy pozostają na miejscu i biorą udział w działaniach. W tle pracują jednak strażacy, służby medyczne i policja. Tego nie pokazujemy i o tym nie mówimy. Może słusznie, bo nie powinniśmy odsłaniać szczegółów tego, jak Ukraińcy zorganizowali cały system. Rosjanie natychmiast zrobiliby z tej wiedzy użytek. Mam nadzieję, że przy rządzie pracują zespoły, które wypracowują mechanizmy i procedury możliwe do natychmiastowego wdrożenia w przypadku eskalacji sytuacji kryzysowej w kierunku wojny. Nie chcę przez to powiedzieć, że my niczego nie mamy. Mamy plan mobilizacji gospodarki i przestawienia jej na tory wojenne, mamy Plan Reagowania Obronnego Rzeczypospolitej Polskiej. Dobrze byłoby, aby dokument pod tytułem „Strategia Bezpieczeństwa Narodowego”, który jest publicznie dostępny i może go przeczytać każdy Polak, był aktualizowany zawsze, gdy zachodzi taka konieczność, a jego nowa edycja, pokazująca nową skalę zagrożeń, ukazywała się jak najszybciej. Na podstawie tej strategii przeciętny Polak powinien wiedzieć, czego może się spodziewać i jak przygotować gospodarstwo domowe na opisane zagrożenia. Nie będziemy przecież za każdym razem wydawać kolejnych instrukcji dotyczących plecaków ewakuacyjnych, bo może to wywoływać niepokój, a czasami rodzić panikę. A to chyba najgorsze, co mogłoby nas spotkać.

Wracając do Ukrainy: czy jej odporność wynika z odwagi Ukraińców, czy również z tego, że obywatele potrafili się samoorganizować, przewozić ludzi, naprawiać sprzęt, zdobywać informacje i podtrzymywać funkcjonowanie miejscowości?

Wynika to z połączenia jednego i drugiego. Ukraińcy cierpieli na brak poczucia więzi narodu z państwem. Zmieniło się to po 2014 roku, po Majdanie. Ta tożsamość i więź zaczęły nabierać innego kształtu. Ojców tego sukcesu zapewne jest wielu. Nie chcę ich wymieniania, ale pewna część ukraińskiej sceny politycznej przyczyniła się do tej zmiany. Główna za-

śluga należy jednak do narodu ukraińskiego, który zrozumiał, że naród pozbawiony więzi z państwem, przywiązania do hymnu, języka i barw narodowych prędzej czy później zniknie z mapy świata. Z tą ukraińską odpornością mamy do czynienia de facto od 2014 roku, a w pełnej skali, pośród ogromu ludzkich tragedii, od lutego 2022 roku.

Czy Polska potrzebuje powszechnego przeszkolenia obywateli, nawet jeśli obowiązkowa służba wojskowa nie zostanie przywrócona?

Moim zdaniem tak. Mamy społeczeństwo bardzo mocno scyfryzowane. Z jednej strony to cieszy,

szerego państwa oczekiwałbym, po to, aby wszyscy zostali przeszkoleni. Dobrze, że mamy ustawę o ochronie ludności. Wszystko powinno się jednak zaczynać od najniższego poziomu: od rodziny. To najmniejszy, ale zarazem podstawowy poziom. Później jest szkoła. Powinien w niej istnieć taki przedmiot jak przysposobienie obronne, ale rzeczywiście traktowany jako przedmiot, a nie możliwość rekreatywna na zasadzie: „Pójde albo nie pójde; do czego mi to potrzebne?”. Powinien być atrakcyjny i dobrze prowadzony.

Panie Generale, ile można się nauczyć podczas jednodniowego albo weekendowego szkolenia? Ktoś dostaje certyfikat jego ukończenia i ma po prostu dobre samopoczucie.

Niewiele można się nauczyć, ale nie chodzi tylko o to, ile człowiek się nauczy, lecz ile zostanie mu w głowie. Po jednym dniu czy weekendzie zapewne pozostanie niewiele. Potrzebne są cykliczność i regularność. Takie inicjatywy są dobre, jeśli szkoli ktoś, kto się na tym zna. Później jednak pozostają jeszcze rodzina i przedmiot w szkole. Mamy kursy i inicjatywy proobronne, ale regularne szkole-

nia powinny się odbywać w każdym budynku biurowym, każdej wspólnocie mieszkaniowej, szkole, przedszkolu i na uczelni. Nie wystarczy podczas krótkich prelekcji mówić, co i jak należy robić. Trzeba to również ćwiczyć i sprawdzać, między innymi podczas próbnych alarmów. Jeżeli tego nie robimy, wiedza ulatuje.

Kogo należałoby szkolić w pierwszej kolejności: młodych ludzi, urzędników, pracowników infrastruktury krytycznej, nauczycieli czy po prostu wszystkich po kolei?

Nie wiem, czy istnieje złoty środek i jedno dobre rozwiązanie. Wy-

pracowników infrastruktury krytycznej i nauczycieli. Kiedy przyjdzie co do czego, siłą rzeczy wszystkie oczy będą zwrócone właśnie na nich.

A kobiety, seniorzy i osoby z niepełnosprawnościami? Czy oni także powinni mieć jasno określone rolę w całym systemie odporności?

Te osoby powinny przede wszystkim wiedzieć, gdzie mogą się schronić i co robić, jeżeli pojawi się zagrożenie, aby ratować życie i zdrowie. To już będzie sukces. Jeżeli mamy do czynienia z osobami z niepełnosprawnościami, które uniemożliwiają samodzielną ewakuację, muszą one wiedzieć, kto po nie przyjdzie i pomoże im dotrzeć do bezpiecznego miejsca. Powinniśmy zinventoryzować ludność i jej możliwości, ponieważ bardzo istotna jest także praca w urzędach czy punktach kierowania ruchem. Proszę zauważyć, że w pierwszych tygodniach wojny w Ukrainie mieliśmy do czynienia z masowym przemieszczaniem się ludności. W punktach kierowania i punktach informacyjnych wcale nie muszą pracować uzbrojeni po zęby żołnierze, ponieważ ich zadania są gdzie indziej. Jest tam natomiast miejsce dla ludzi, którzy znają okolicę i są doskonale zorientowani, gdzie co się znajduje. Bez zaglądania do Google Maps mogą natychmiast udzielić informacji o obiektach, w których można się schronić, przenocować albo dostać coś do jedzenia.

Kogo powinien słuchać obywatel, jeżeli na przykład w mediach społecznościowych pojawią się nagrania informujące o rzekomej ewakuacji, skażeniu albo przełamaniu granicy?

W takich sytuacjach nie powinniśmy opierać się na jednym źródle. Internet jest pełen fałszywych wiadomości, obecnie również treści tworzonej za pomocą sztucznej inteligencji. Każdy zdroworozsądkowo myślący obywatel powinien zweryfikować taką informację, włączając radio lub telewizor. Jeżeli nie ma jej w głównych kanałach informacyjnych, oznacza to, że jest fałszywa. Można jeszcze zapytać sąsiada, czy coś słyszał, wie albo czytał. W ostateczności można zadzwonić do służb. Jeżeli jednak zagrożenie rzeczywiście występuje, w ten sposób blokujemy linię telefoniczną, która jest potrzebna służbom do zupełnie innych celów. To wszystko wyjdzie w praktyce, jeżeli ludność będzie szkolona, systemy będą sprawdzane od strony technicznej, a alarmy i sygnały będą ćwiczone. Jeżeli nie wyją syreny, a w telewizji i radiu nie ma żąd-

nego komunikatu, mamy do czynienia z fałszywą informacją.

Ale czy obywatel wie dzisiaj, gdzie znajduje się najbliższe miejsce schronienia, dokąd powinien się udać po uszyszeniu alarmu? I czy w ogóle wie to państwo?

Państwo wie, obywatel nie wie. Jeżeli nie ćwiczy się z nim takich sytuacji i nie sprawdza jego przygotowania, skąd miałby wiedzieć? Spójrzmy choćby na wspólnoty mieszkaniowe. Nie wiem, czy wszyscy wiedzą, co oznaczają zielone tabliczki, na których narysowano bodajże trzy osoby, rodzinę z dzieckiem. Jeszcze raz powtórzę: jeżeli nie ma regularnych, cyklicznych ćwiczeń, skąd ludzie mają to wiedzieć? Otrzymali „Poradnik bezpieczeństwa”, ale ilu Polaków przeczytało go od deski do deski? Ilu zaznaczyło sobie najważniejsze kwestie? Ilu pomyślało: „Pójde i sprawdzę, gdzie jest miejsce zbiórki, jak zostało oznaczone, gdzie znajduje się schronienie albo ukrycie”? Przecież nasz system nie wygląda tak jak w Szwajcarii czy Finlandii i właściwie nikt tego nie wie.

Czy pan, zawodowy żołnierz i generał, ma w domu plecak ewakuacyjny? Co się w nim znajduje?

Nie jestem już żołnierzem. Byłem nim. Plecaka nie mam, ponieważ uważam, że w dającej się przewidzieć przyszłości nie będę musiał go używać. Jeżeli uznam, że sytuacja zmieniła się na tyle, że jest mi potrzebny, znajdź się na moim wyposażeniu. Chyba że państwo wprowadzi obowiązek posiadania takiego plecaka i dbania o niego oraz będzie sprawdzało, czy został należycie skompletowany i czy wszystkie znajdujące się w nim produkty mają aktualne terminy przydatności. Wtedy będę o to dbał, nie tylko dlatego, że muszę, ale też dlatego, że uznam, iż państwo daje mi wszelkie sygnały świadczące o tym, że coś może się wydarzyć i powinienem być przygotowany.

Gdyby mógł pan nauczyć każdego Polaka jednej umiejętności potrzebnej w czasie kryzysu, co by to było?

Chciałbym, żebyśmy potrafili działać w sposób zorganizowany. Właśnie w tym kierunku bym poszedł, ponieważ po 31 latach zawodowej służby wiem, że nie ma nic gorszego niż panika. To ona w największym stopniu dezorganizuje zarówno małe, jak i duże grupy. Jeżeli brakuje zorganizowanego działania i lidera, zawsze pojawiają się panika i chaos. A to najgorsze, co może nas spotkać w sytuacji kryzysowej.

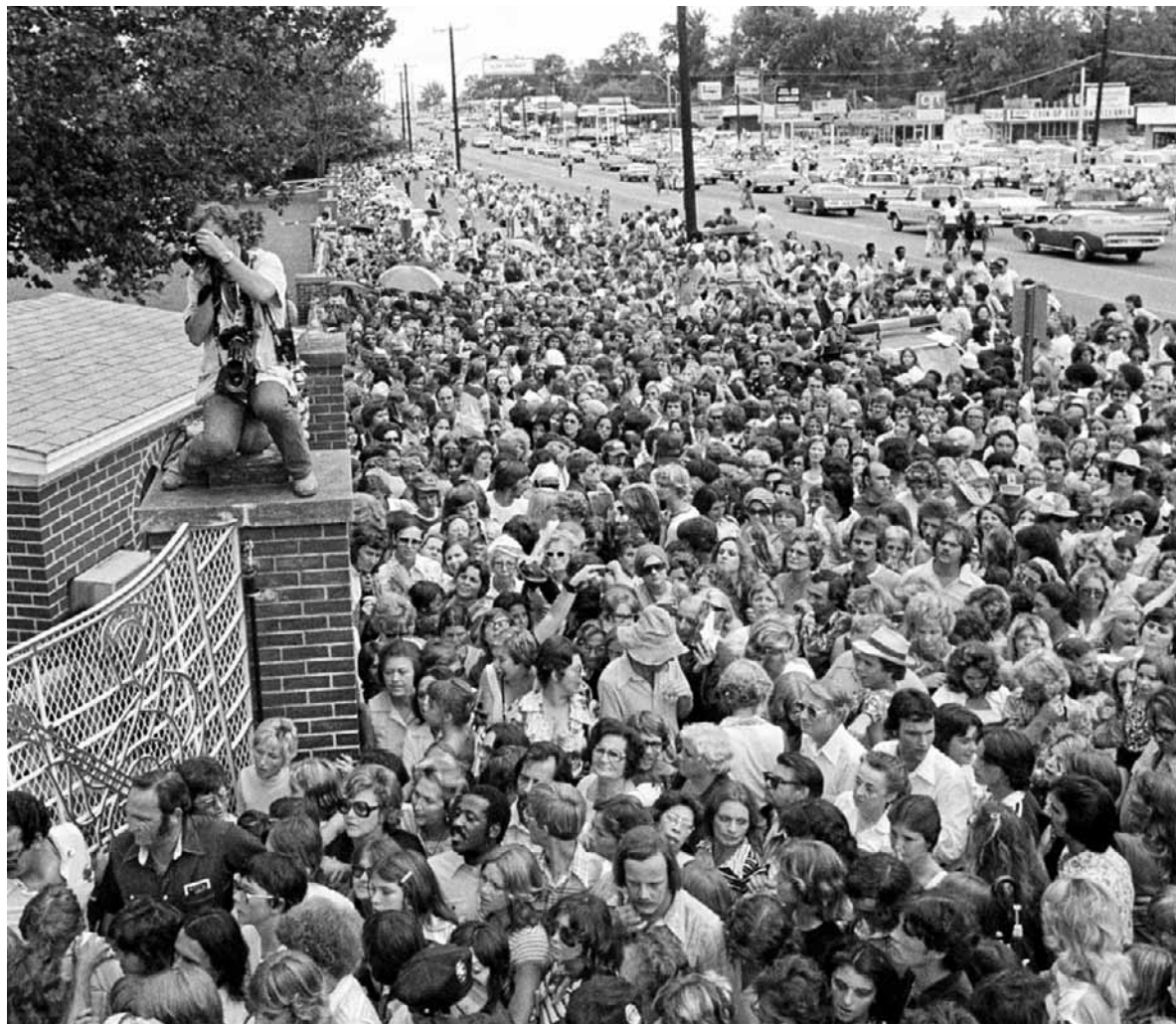


Gen. Kraszewski: Słusznie poczuwamy się bezpiecznie. Pokazując w czasie parady nowoczesny sprzęt i to, że potrafimy się nim posługiwać, pokażemy również, że czynimy bardzo duże postępy w każdej dziedzinie

ale w przypadku konfliktu zbrojnego albo sytuacji kryzysowej, gdy przestaną działać internet i telefony komórkowe, część społeczeństwa nie będzie wiedziała, co robić. Ludzie nie potrafią korzystać z mapy ani z zegarka wskazówkowego, nie wiedzą, jak określić kierunki i strony świata. Można byłoby wymieniać dalej. Uważam, że inicjatywy prowadzone przez MON, jak „Trenuj z wojskiem”, „Weekend z wojskiem” i dobrowolna zasadnicza służba wojskowa, są dobre. To jednak wciąż nie jest skala, której jako przeciętny obywatel na-

korzystałbym potencjał, który już jest w społeczeństwie. Należałoby szybko przeanalizować, gdzie kto pracuje, oraz zidentyfikować ludzi, którzy mają za sobą służbę wojskową, bez względu na to, czy była to służba zasadnicza, zawodowa czy terytorialna. W tej chwili nie ma to znaczenia. Tych ludzi szkoliłbym w pierwszej kolejności, ponieważ to za nimi pójda wszyscy inni, wiedząc, że mają przed sobą osoby, które wiedzą, co robić. Poszedłbym też tropem, o którym pani wspomniała: w pierwszej kolejności szkoliłbym kierowników urzędów,

HISTORIA POPKULTURY



W pogrzebie Elvsa Presleya w 1977 r. wzięło udział ok. 100 tys. osób

Prawdziwie królewski pogrzeb Elvsa Presleya

Pogrzeb Króla Rocka 18 sierpnia 1977 r. w Graceland i w Memphis wywołał ogóln amerykańską histerię. Tylko podczas samej uroczystości odnotowano śmierć dwóch jej uczestniczek

Mariusz Grabowski

Wedle danych policji do Memphis w Tennessee zjechało owego sierpniowego dnia blisko 100 tys. ludzi. Tłumy przyjeżdżają zresztą do dziś, oddając hołd legendzie spoczywającej dziś w przypominającym Disneyland Gracelandowym Ogrodzie Medytacji.

Ameryka żegna

Śmierć i pogrzeb Elvsa to temat niekończących się plotek, legend i teorii spiskowych. Czasem wręcz nieprawdopodobnych, co tylko dowodzi, jak wielkie piętno muzyk odcisnął na amerykańskiej kulturze masowej.

Czy faktycznie zamiast muzyka pochowano figurę woskową, a on sam dożywa starości na Hawajach jako pastor nazwiskiem Bob Joyce? A jeśli zmarł, to dlaczego jego ciało w otwartej trumnie przypominało ciało młodzieńca? Twarz nie pasowała do kogoś, kto przed śmiercią ważył blisko 150 kilo i stanowił ka-

talog chorób i dolegliwości. Nawet trumna muzyka budziła podejrzenia. Była wykonana z miedzi i niosła ją aż 14 żałobników. Czy w środku faktycznie było urządzenie chłodzące, żeby figura z wosku się nie roztopiła? Wielu faktów dowiemy się w 2027 r., gdy akta sekcji zwłok Presleya zostaną odtajnione.

Pewne jest, że 18 sierpnia 1977 r. Ameryka zamarła. Rozgłoszenie radiowe i stacje telewizyjne rozpoczęły nadawanie programów poświęconych Presleyowi, a gazety publikowały informacje o śmierci artysty na pierwszych stronach. Tłumy reporterów koczowały przed posiadłością muzyka, aby relacjonować odbywające się tam wydarzenia funeralne.

Tragedia w tragedii

Pogrzeb, a właściwie starannie wyreżyserowane pogrzebowe teatrum rozpoczęło się o godz. 14 w Graceland. Zostało zorganizowane przez Vernona Presleya, ojca artysty, wspólnie z płk. Tomem Parkerem,

menadżerem. Od początku było też nacechowane tragedią: oto ok. godz. 14.30 doszło do śmiertelnego wypadku, który spowodował 18-letni pijany kierowca, wjeżdżając w ciągnący z Memphis tłum. Jak się później okazało, dwie kobiety zginęły, a trzecia doznała poważnych obrażeń.

O godz. 15, po wysłuchaniu krótkiego koncertu ku czci Presleya (piosenki zaśpiewali Kathy Westmoreland, J.D. Sumner w towarzystwie The Stamps i gospelowy The Statesmen Quartet), orszak żałobny skierował się na cmentarz Forest Hill w Memphis, gdzie Presley został pochowany.

Oblicza się, że przez kolejne kilka dni miejsce pochówku artysty odwiedziło ok. ćwierć mln fanów. 26 sierpnia do krypty, w której został pochowany Presley, przeniesiono zwłoki jego matki, a zaraz potem odnotowano nieudaną próbę kradzieży zwłok obojga (jednym ze złodziei był – co ciekawe – agent FBI). Stąd decyzja rodziny o przenie-

sieniu ich doczesnych szczątków do Graceland.

Pogrzeb artysty, z racji jego konfesji, odbył się w rycie protestanckim. Ceremonię poprowadził pastor C.W. Bradley z organizacji Church of Christ, a krótkie emocjonalne kazanie wygłosił popularny ewangelista telewizyjny Rex Humbard.

Czy Elvis Presley był człowiekiem religijnym? Na pewno wychowano go w wartościach chrześcijańskich, regularnie uczęszczał do kościoła zielonoświątkowego Zborów Bożych w rodzinnym Tupelo w stanie Missisipi i do szkoły niedzielnej. Kościelne śpiewy były też jego pierwszą edukacją muzyczną.

Wiadomo, że, jak przystało na protestanta, czytał Pismo Święte i aż do śmierci nanosił odręczne uwagi na egzemplarzu Biblii, który otrzymał od wujostwa na pierwsze Boże Narodzenie w Graceland. Byli tacy, co twierdzili, że muzyk był w stanie cytować z pamięci całe fragmenty Starego i Nowego Testamentu.

Nagrał też trzy płyty z pieśniami gospel, powracając w ten sposób do swych korzeni muzycznych i duchowych. Między rockandrollowe hity: „Jailhouse Rock” czy „Hound Dog” na koncertach wpłatał m.in. „How Great Thou Art”, hymn o wielkości Boga i Jego stworzenia i piosenkę-modlitwę „Take my Hand Precious Lord”.

„Płakaliśmy”

Wróćmy do pogrzebu. Podczas wystawienia trumny w Graceland, między pokojem muzycznym a salonem, widać było, że ciało Presleya ubrane było w elegancki biały garnitur. Przy trumnie ojca czuwała 9-letnia Lisa Marie. Emocje gości były tak silne, że kilkakrotnie do akcji musieli wkroczyć ochroniarze. Wiele szlochających fanek chciało wymienić ze zmarłym ostatni pocałunek, urwać fragment jego garderoby na pamiątkę, a jedna próbowała ściągnąć z jego palca sygnet.

Wokół posiadłości i wzdłuż trasy do Memphis porządku pilnowała nie tylko policja, ale też 300 żołnierzy Gwardii Narodowej. Mnóstwo roboty mieli sanitariusze – w ciżbie odnotowano kilkaset omdleń i załabnięć. Flagi w całym stanie Tennessee zostały opuszczone do połowy masztu.

Wśród żałobników znaleźli się nie tylko rodzina i fani, ale także najbliżsi przyjaciele. W pogrzebie wzięła udział m.in. Ann-Margret, dawna partnerka Elvsa, która miała z nim głośny romans podczas kręcenia filmu „Viva Las Vegas”. W swoich wspomnieniach zaznaczyła, że podczas ceremonii trzymała mocno rękę Vernona Presleya. „Było tak wiele do powiedzenia, do opowiedzenia. Ale zamiast tego płakaliśmy” – napisała.

Niezależnie od tego czy Elvis zmarł, czy żyje w ukryciu, albo czy

został adoptowany przez kosmitów, wciąż jest wokół nas. I to dosłownie – wedle badań Instytutu Gallupa blisko 40 proc. Amerykanów jest bliskich dania wiary temu, że w wieku 91 lat Presley nadal stąpa po terytorium USA. Dodajmy do tego, że ostatni raz Elvis był „widziany” w 2016 r. i uwieczniony na filmiku, który zrobił furorę w sieci. Pojawił się na nim siwy mężczyzna w pomarańczowym t-shirtcie, który przechodząc obok kamery, podnosi dwa palce trzymane w symbolu V.

Pośmiertnie muzyk dostępuje nowej roli – świętego. 15 sierpnia 2017 r. odbyło się 39. nocne czuwanie, w trakcie którego fani Elvsa Presleya tradycyjnie ze świecami zbierają się u jego grobu w Graceland. Te uroczystości były jednak szczególne. Po raz pierwszy w tym wydarzeniu wzięło udział ponad 50 tys. osób z całego świata. Pochód ze świecami miał ok. 2 km długości, ostatni fani byli przy grobie Elvsa ok. 3 nad ranem.

Na koniec głos zabrala przedstawicielka Ogólnokrajowego Fan Clubu Elvsa Presleya w Stanach Zjednoczonych: „Elvis ciągle pomaga nam we wszystkim, co robimy. Dla wielu, był z nami przez większość naszego życia, dla niektórych przez całe życie. I jest ciągle z nami przez swoją muzykę, i zawsze będzie” – mówiła wzruszona.

Elvis zarabia

Posiadłość Graceland jest, po Białym Domu, najczęściej odwiedzanym muzeum w Stanach (ok. pół mln ludzi rocznie), zaś on sam jest jednym z najlepiej zarabiających nieżyjących artystów na świecie. Według „Forbesa” z rocznym dochodem szacowanym na 35-45 mln dol. w 2021 r. i z 110 mln w rok później. Tak gwałtowny wzrost „Forbes” tłumaczy głównie filmem „Elvis” Baza Luhrmanna, ale też biletami na trasy koncertowe z muzyką Presleya, sprzedawą płyt, pamiątek i gadżetów, a także odwiedzinami w miejscach pamięci w Graceland, Tupelo i Memphis.

Firma Elvis Presley Enterprises, organizująca obchody śmierci swego patrona i ma wyłączność na sprzedaż jego wizerunku, notuje rekordowe zyski. Bilety wstępu do Graceland przynoszą połowę z rocznych wpływów firmy, sięgających 150 mln dolarów.

Mimo blisko półwiecza od śmierci Presley jest zatem jednym z marketingowo-biznesowych skarbów Stanów Zjednoczonych. W listopadzie 2018 r. znalazł się wśród siedmiu osób zasłużonych dla USA, które zostały uhonorowane przez Donalda Trumpa Prezydenckim Medalem Wolności. To prestiżowe wyróżnienie może być przyznawane osobom, które w sposób szczególny zasłużyły się dla bezpieczeństwa lub interesów narodowych Stanów, pokoju na świecie, w dziedzinie kultury lub na innych płaszczyznach.

KULTURA

Kuna: Mam dobre zdanie o terapii. Korzystałam z różnych jej form

Znamy ją jako utalentowaną aktorkę, ale jest też pisarką. Ma w dorobku dwie książki: „Klara” i „Klara jedzie na pogrzeb”. Stały się kanwą serialu, którego pierwszy sezon oglądaliśmy dwa lata temu. Obecnie na platformie HBO Max pojawiła się kontynuacja. Nam Izabela Kuna zdradziła, ile jest w niej z jej książkowej i serialowej bohaterki

Paweł Gzyl

Dwa lat temu obejrzelismy pierwszy sezon serialu „Klara”, teraz przed nami drugi. To najważniejsze przedsięwzięcie w pani karierze?

Na pewno jedno z najważniejszych. Spłótno się tu bowiem kilka moich ról: napisałam książkę, na podstawie której nakręcono serial, zostałam jego producentką kreatywną i zagrałam w nim główną rolę. Stąd to dla mnie bardzo przejmujące i ukochane przedsięwzięcie, bo mogłam w jego ramach ogarnąć wiele funkcji. Zależy mi bardzo, by mieć jak największy wpływ na to, co robię. I tutaj były takie możliwości. Jestem więc przejęta tym projektem i mam do niego dużo serca. Lubię ten serial – i mówię to jako aktorka, producentka i partnerka życiowa scenarzysty.

Serial powstał na podstawie pani książki, w której stworzyła pani postać Klary – singielki w średnim wieku z dużego miasta, która przeżywa miłosne perypetie. Wiele kobiet odnalazło siebie w tej bohaterce.

Mam wrażenie, że to, co napisałam w tej książce, jest tym, co wiem o sobie i o ludziach, którzy ze mną żyli i żyją, tym, co wiem o swojej rodzinie. Bo rodzina to źródło najbliższych mi historii i kopalnia inspiracji: charakterów, związków, traum, smutków, radości i imprez. Tak zostałam wychowana, tak kształtowała się moja wrażliwość, to ma wpływ na moje pisanie i moje granie. Rodzinne historie mnie interesują i przejmują. Takie opowieści najbardziej lubię oglądać na ekranie i sama je tworzyć. Lubię obserwować innych, przyglądać się im i ich słuchać. Dzięki temu ludzie przeglądają się w tej książce i w tym serialu. Bardzo wiele osób mówi: „Jestem Klarą”. Ale wiele mówi też: „Kuna, to jest moja matka”. Co ciekawe, znam matki tych osób i moim zdaniem są one zupełnie różne od siebie, ale jak widać wszystkie są takie, jak pani Ala z mojej książki. (śmiech) Czyli czepiające się, wiecznie niezadowolone z potomstwa i ich wyborów. Tak jak matka Klary. To jest więc trochę tak, jakbym stworzyła matkę (prawie) wszystkich matek.

Czytelników i widzów przekonuje więc do „Klary” prawda pokazanych postaci i opisanych wydarzeń.

Jestem szczera, więc zależy mi, żeby moje historie też takie były. Dzięki temu ludzie je lubią i odnajdują się w nich. To do prawdy odwołuję się w mojej pracy i w moim życiu. Klara, jej

matka, ojciec, Aleks, Piotr czy Wronka to bardzo wrażliwi i pogubieni ludzie, popełniający błędy, słabi w swoim poszukiwaniu miłości, szczęścia i bliskości. Jest w nich smutek przemijania i niespełnienia, ale i łapczywe trzymanie się życia i chęć spełniania marzeń, czasem za wszelką cenę i z naszym skutkiem.

W wywiadzie powiedziała pani: „Klara nie jest mną, ani ja nie jestem Klarą, ale ma wiele moich cech”. Jakież?

Nie jestem Klarą, ale nią bywam, a zwłaszcza bywałam kiedyś. Moja bohaterka ma podobne poczucie humoru jak ja, ma w sobie również dużą niezależność, ale jest ode mnie odważniejsza i bardziej przebojowa. Mogłybyśmy się ze sobą kolegować.

Drugi sezon „Klary” czerpie z treści pani książki czy to autonomiczna historia?

Drugi sezon czerpie z książki „Klara jedzie na pogrzeb” tylko niewielkie fragmenty i jest autorskim projektem Marka Modzelewskiego z zachowaniem charakteru i temperatury mojego pisania. Marek jest już bardziej w „Klarze” niż ja. (śmiech) Czuje ją i rozumie, jej dowcip, relacje z rodzicami i przyjaciółmi.

Jeszcze przed premierą pierwszego sezonu „Klary” powiedziała pani, że tylko Marek Modzelewski mógł napisać scenariusz tego serialu. Dlaczego?

Po pierwsze wiele osób próbowało to zrobić przed nim – i nie udało im się. Po drugie Marek jest najlepszy w swym fachu. Świadczy o tym jego scenariusze i sztuki teatralne. Ale najważniejsze jest to, że Marek lubi i czuje Klarę.

Wcześniej ponoć nie wtrącała się pani do jego pracy. Jak było teraz?

Marek czasami prosił mnie o napisanie sceny albo dialogu, ale to on jest autorem scenariusza i to jest najlepsze, co mogło Klarę spotkać. Jesteśmy zadowoleni z tego, co powstało.

Tym razem zgodnie z podtytułem oglądamy całkowitą rewolucję w życiu bohaterów serialu. Skąd pomysł na taki wywracający wszystko do góry nogami zabieg fabularny?

Drugi sezon nie jest wywróceniem wszystkiego do góry nogami, tylko przeprowadzeniem rewolucji w życiu bohaterów. Po kilkudziesięciu latach nieobecności do Klary wraca jej ojciec, po wielu próbach wprowadza się do niej Aleks, a to tylko początek. Są tutaj



FOT. WARNER BROS. DISCOVERY

Izabela Kuna: Jestem szczera, więc zależy mi, żeby moje historie też takie były. Dzięki temu ludzie je lubią i odnajdują się w nich

sceny historyczne, musicalowe, jest horror, są wizje i sny. Jednym słowem drugi sezon „Klary” to kino pełne emocji.

Punktem zwrotnym drugiego sezonu jest pojawienie się w życiu pani bohaterki „ojca marnotrawnego”. Władysław miał być martwy, a okazuje się, że ma się całkiem dobrze. Dlaczego Klara wpuszcza go do domu?

A pan by nie wpuścił swojego ojca do domu?

Wcale nie ma pewności, że to jej ojciec.

To prawda. No, ale wie pan: „Gość w dom, Bóg w dom”. Nieznajomy puka do drzwi, trzeba go więc napoić i nakarmić. To zawsze jest ciekawe. Poza tym Klara lubi dym. Jestem pewna, że od razu wie, że to jej tatuś.

Władysław to symbol tych wszystkich nieobecnych ojców, którzy opuszczają swe żony i dzieci.

To prawda. Mówią, że idą po włoszczyznę, a wracają po dwóch tygodniach albo w ogóle.

Co sprawia, że mężczyźni tak często okazują się takimi draniami?

Nie wiem. Ale matka Klary też nie jest najłatwiejszą osobą we współżyciu. W pierwszym sezonie mówi we śnie: „Odszedł ode mnie, bo miał dosyć mojego paskudnego charakteru. Byłam nie do zniesienia, poszedł do takiej, która była do zniesienia”. Czyli jak to mówi Marek Modzelewski: „Co chatka, to zagadka”. Ale nie zaprzeczam – Władysław jest draniem.

Brak ojca na pewno odcisnął się poważnie na osobowości Klary. To dlatego wikła się w skomplikowany związek z żonatym facetem?

O to należałoby zapytać doktor Pucię, która jest w serialu psychoterapeutką. Cóż: ludzie wikłają się w różne związki, nie będąc wcześniej zostawionymi przez kogoś z rodziców. Klara ma potrzebę miłości, akceptacji, ciepła. Matka jej nie rozpieszczęła. Jest raczej surowa niż łagodna. Ojca natomiast nie ma. Jedyną osobą, która okazuje jej miłość jest Aleks i w nim znajduje matkę i ojca, a nawet dzieci,

których nie ma. I tu zaczyna się problem, bo nasz Aleks sam ma żonę i dwojkę dzieci.

Mimo, że Władysław zranił najbliższe mu osoby, budzi jednak naszą sympatię, leżąc nieustannie na kanapie i popijając koniaczek. Jak to możliwe?

Nie musimy bronić bohaterów, żeby ich lubić. Władysław to też ci ojcowie, którzy bywają szarmanccy, błyskotliwi, dowcipni, zabawni, mają gest. Lubi się takich drani, mimo ich wad. Nawet bardzo. (śmiech)

Jak pani wspomniała, matka jest dla Klary surowa i złośliwa. To dlatego, że Władysław zostawił ją z dzieckiem?

To kwestia charakteru. Gdyby jej nie zostawił, to zatrułaby mu życie.

Wszystkie frustracje Klara wylewa na terapii u doktor Puci. Jakie pani ma doświadczenia z psychoterapeutami?

Mam jak najlepsze zdanie o terapii. Korzystałam z różnych jej form. Teraz też jestem w terapii.

Czyli to pani służy?

Czuje się dobrze, więc chyba mi służy.

Mówiła pani kiedyś, że napisanie książki o Klarze było dla pani autoterapią. Zagranie tej postaci w serialu również?

Nie. Jestem aktorką i granie jest moją pracą. Klara jest taką samą postacią jak każda inna, którą gram. W pisaniu mogę sobie pozwolić na więcej, bo nikt mnie nie kontroluje. Pisanie daje mi większą wolność. Dlatego bardzo chciałabym dalej pisać.

Klara jest zakochana w żonatym facecie i marzy, by zostawił dla niej żonę. Kiedy tak się dzieje w drugim sezonie serialu, okazuje się, że to żadna sielanka. Widziała pani takie sytuacje w prawdziwym życiu?

No pewnie! To nie jest nic nadzwyczajnego. Z reguły tak się dzieje. Kiedy mamy już coś, o czym marzymy, to przestajemy o to walczyć albo zaczyna nam się to nudzić. Poza tym rzadko który związek jest sielanką od początku do końca. (śmiech)

Aleks nie jest typowym przystojniakiem i notorycznie okłamuje Klarę. Właściwie za co ona go kocha?

Absolutnie za wszystko. (śmiech)

Ponoć pani zależało, żeby Aleksa zagrał Adam Woronowicz. Dlaczego?

Bo go uwielbiam.

Tworzycie państwo równie barwną parę w „Teściach”, którzy też trochę zamienili się w serial. Te wspólne doświadczenia z tamtego cyklu pomały wam na planie „Klary”?

My się bardzo lubimy prywatnie z Adamem. Ale praca jest pracą. Tu nie ma więc znaczenia, że gramy razem w „Teściach”, potem w „Klarze”, a później jeszcze gdzie indziej. Każda historia jest inna, więc my też jesteśmy inni, a tacy sami jesteśmy tylko w przerwach.

Planuje pani trzeci sezon „Klary”?

Bardzo bym chciała. Zobaczymy, jak zostanie przyjęty drugi sezon – i wtedy zapadną decyzje.

POLITYKA

Migalski: Nawrocki ma nieukrywane ambicje, aby zostać patronem prawicy i zastąpić na tym miejscu Kaczyńskiego

– Jego weta pokazują, że Nawrocki realnie wziął sobie do serca plan wpływania na rzeczywistość, a nie płynięcia z nurtem rzeki. On jest bardzo poważnym, twardym, politycznym graczem. I rzeczywiście ma dzisiaj w ręku wszelkie narzędzia polityczne. Mam na myśli to, czym dysponuje prezydent, ale też przymioty charakteru, które mogą go sytuować w czołówce tych, do których będzie należeć przyszłość prawicy – mówi prof. Marek Migalski, politolog z Uniwersytetu Śląskiego

Dorota Kowalska

Panie profesorze, mamy z jednej strony, myślę tu o koalicji, trochę nudę. Z drugiej strony, chodzi mi o opozycję, totalny chaos, rozłamy, wzajemne ataki. Która strategia jest lepsza na kampanię wyborczą?

Nuda czy chaos?

Dokładnie.

Gdyby traktować to na takim poziomie metapolitycznym, to oczywiście nuda. Tylko to zawsze jest tak, że rządzącym zależy na tym, aby nie wzbudzać emocji, natomiast opozycji na tym, żeby wszystko było rozbudowane, bo wtedy mają większą szansę na zdobycie władzy. Nie do końca zgadzam się z tezą, że po stronie koalicji rządowej panuje totalna nuda. Pani Pełczyńska-Nałęcz dostarcza coraz więcej emocji w przestrzeni politycznej. Pewna wsteczna refleksja Szymona Hołowni, który prawie odszedł z polityki, a teraz podobno chce do niej wrócić, też może dostarczyć w najbliższych tygodniach albo miesiącach dużo emocji. To oczywiście nie przekłada się specjalnie na produktywność rządu. Natomiast po stronie opozycji, rzeczywiście, chaos jest większy. Doszło do secesji rebeliantów pod wodzą Morawieckiego. Los tej formacji nie jest jasny, chociaż osobiście, wobec szans powodzenia tego nowego ugrupowania jestem dosyć sceptyczny. Ale, zgadzam się z panią, po stronie opozycji widać o wiele większe zamieszanie. Również sondażowe, bo o ile po stronie rządzącej te sondaże są dosyć stabilne, to znaczy Koalicja Obywatelska jest zdecydowanym hegemonem po tej stronie sceny politycznej, lewica systematycznie przekracza próg pięciu procent poparcia i ma ogromne szanse na znalezienie się w przyszłym Sejmie, o tyle losy zarówno PSL-u, jak i tego, co zostało



Prof. Migalski: Nie jest wcale przesądzone, że po wyborach władzę w Polsce przejmie prawica

po Polsce 2050 są niejasne, ale to jest trwały trend. Natomiast o wiele ciekawiej jest po stronie opozycji, dlatego że tam widzimy duże wahania w notowaniach największej partii opozycyjnej, czyli PiS-u. Powstał nowy podmiot, o którym już wspomnieliśmy. I mamy rywalizację między dwoma Konfederacjami.

Czemu pan nie daje szans Mateuszowi Morawieckiemu?

Jest kilka powodów. Po pierwsze – wstępne notowania tej inicjatywy są dramatycznie niskie. To od dwóch do siedmiu procent poparcia, ostatnio widziałem jakiś sondaż, w którym Rozwój Plus ma cztery procent poparcia i to jest, jak na początek, bardzo słaby wynik. Zarówno PJN, jak i Solidarna Polska w momencie powoływania do życia miały notowania dwucyfrowe, kilkunastoprocentowe,

a w obu przypadkach zakończyło się to klęskami wyborczymi. Obie partie nie zdołały przekroczyć progów wyborczych w 2011 i 2014, mówię tutaj o wyborach do europarlamentu. I to jest pierwszy powód. Drugi powód jest taki, że ta secesja dokonała się nie wtedy, kiedy planował to Morawiecki. Jeśli dobrze czytam jego grę, on chciał odejść z PiS-u na kilka zaledwie miesięcy przed wyborami, żeby na efekcie nowości dojechać do wyborów.

Jarosław Kaczyńskiego przechytrzył?

Tak, Kaczyński, w moim przekonaniu, okazał się tutaj sprytniejszy. Wyrzucając go de facto, bo oczywiście trwa spór, czy Morawiecki i jego ludzie zostali wyrzuceni, czy odeszli sami, ale powiedzmy sobie szczerze, Kaczyński doprowadził do tego, że oni są już na swoim. Zrobił to w tym mo-

mentcie, dlatego że skazuje teraz tę formację na piętnaście czy szesnaście miesięcy funkcjonowania bez dotacji, bez funduszy, bez struktur, bez tego całego oprządkowania, które ma PiS.

Ale Morawiecki jeździł od dawna po Polsce. Może budował jakieś struktury?

Jestem przekonany, że to robił, tylko chciał to zrobić jeszcze przez najbliższy rok. Wtedy te struktury byłyby mocniejsze, poparcie byłoby prawdopodobnie większe. I byłby ten efekt nowości, gdyby ogłosił powołanie nowego podmiotu na przykład w czerwcu przyszłego roku. To z jego punktu widzenia i z punktu widzenia interesów jego formacji byłoby o wiele lepszym scenariuszem. Natomiast w tej chwili Kaczyński ma ponad rok na zmarginalizowanie tej partii, a potrafi to zrobić. On to pokazał zarówno w odniesieniu do PJN-u jak

Solidarnej Polski. Kaczyński w takich grach na prawicy jest naprawdę niezły. Co prawda jest coraz starszy i sytuacja dzisiaj nie jest tak jasna, jak było to przed kilkunastoma laty, jego przywództwo nie jest już tak oczywiste. Obserwując jednak pewne pogubienie – i strategiczne, i marketingowe – po stronie Morawieckiego widać, że oni na odejście nie byli przygotowani już w tym momencie. Natomiast Kaczyński, jak mówię, będzie miał teraz kilkanaście miesięcy na rozegranie tej partyjki, a w tym jest mistrzem. Jemu nie zawsze udawało się sięgnąć po władzę, ale od kilkunastu lat zajmował pozycję hegemonu na prawej stronie sceny politycznej i, moim zdaniem, to się nie zmieni.

To co może zrobić? Jak może marginalizować Morawieckiego?

W moim przekonaniu najważniejszym ruchem, który w tej chwili zostanie wykonany, to będzie zmiana strategii, którą można by określić mianem „misja Czarnek”. Ten pomysł nie był od początku taki zupełnie niemądry, bo chodziło o odzyskanie tych prawicowych wyborców, którzy odeszli z PiS-u do obu Konfederacji. Natomiast w momencie pojawienia się Morawieckiego po lewej stronie PiS-u konieczna będzie korekta strategii o nazwie „misja Czarnka”. Porzucenie trochę tego ścigania się z obiema Konfederacjami na coraz bardziej radykalny, prawicowy język i obsłużenie tej części elektoratu, która dotychczas była zaniedbywana przez Kaczyńskiego, czyli umiarkowanych wyborców. Dlatego że jeśli popatrzymy na to politologicznie, to inicjatywa Morawieckiego znajduje się od PiS-u po lewej stronie, idzie ku centrum, czyli tam, gdzie kiedyś próbował wbić się w scenę polityczną PJN. Kontynuowanie „misji Czarnka” powodowałoby, że ta inicjatywa miałaby coraz wię-

FOT. ADAM JANKOWSKI

cej tlenu i jakieś szanse na powodzenie. Wobec tego to, czego spodziewam się w najbliższym czasie, to formalne czy nieformalne zakończenie tej misji.

Ikto zastąpi Czarnka?

Bardzo trudno mi spekulować co do nazwisk - nie siedzę w głowie prezesa i też za słabo znam środowisko PiS-u. Oczywiście pojawia się nazwisko Bocheńskiego czy Kownackiego, ale nie będę spekulował. Natomiast chodzi mi o sam trend polityczny. Chodzi o to, że ten ewentualnie nowy kandydat na premiera, a być może obędzie się w ogóle bez wskazywania kogoś takiego, ale język, narracja będą musiały być zmienione tak, aby odebrać tematy i program nowej partii Morawieckiego, bo pewnie będzie ją musiał wreszcie założyć. A druga rzecz, która zaraz za tym pójdzie, to odbieranie wiarygodności temu środowisku, czyli to, co Kaczyński zaczął już robić.

Czyli?

Oskarżanie o zdradę, o spiskowanie z Tuskiem, o wieloletnie konszachty, nie wiem, z Brukselą. Kaczyński to przetestował, a nie zmienia się taktyki, która sprawdziła się w przeszłości.

Nie ma pan wrażenia, że na prawicy powoli, pewnie też z powodu wieku Jarosława Kaczyńskiego, zaczyna się walka o rząd dusz?

Oczywiście, że tak. To, o czym mówiliśmy dotychczas, trzeba traktować również w tym kontekście. Dlaczego Morawiecki nie ugiął się przed ultimatum Kaczyńskiego i jednak zdecydował się na ostrą grę? Dlatego że zrozumiał, iż postawienie na Czarnka oznacza marginalizację jego i jego środowiska nie tylko w kampanii wyborczej, ale również po ewentualnie wygranych wyborach i tworzeniu nowego rządu. On wiedział, że w układance PiS-u i Konfederacji wypada z gry. Rozgrywka o to, kto będzie przywódcą na prawicy, już się rozpoczęła. Tutaj i obydwie Konfederacje i Morawiecki i pewne środowiska wewnątrz PiS-u już układają się pod tę grę. A dodatkowym elementem tego krajobrazu walki o przywództwo na prawicy jest oczywiście Karol Nawrocki, który ma nieukrywane ambicje, aby zostać patronem prawicy i zastąpić na tym miejscu Kaczyńskiego.

Właśnie, chciałam pana o to zapytać, wydaje się, że Nawrocki bardzo chce przewodzić prawicy w Polsce.

Tak i w moim przekonaniu ma coraz więcej narzędzi do tego i osobowość. W przeciwieństwie na przykład do Andrzeja Dudy, który był raczej pośmiewiskiem,

dla potencjalnych koalicjantów czy współpracowników, mówię tutaj o politykach prawicowych. Nie był szanowany ani przez Kaczyńskiego ani przez większość nich. Natomiast Nawrocki jest zupełnie inną osobowością. Po pierwsze - bardzo szybko się uczy. Zauważyłem to już w czasie kampanii wyborczej, kiedy w ciągu pół roku przeistoczył się z ciężko dukającego z kartki kandydata obywatelskiego w bardzo sprawnego przeciwnika największych wyjadaczy w polskim życiu politycznym. I to też widać w ciągu roku jego prezydentury. On ma ambicje, ma zacięcie i robi więcej, niż mówi. I rzeczywiście jego postawa wobec rządu Tuska sprawiła, że upatrują w nim nadzieje prawie wszystkie środowiska prawicowe.

Tak, prezydent ma wielkie ambicje!

Nawrocki właściwie już ich dzisiaj nie ukrywa. Nie wiemy, w jakiej formie da upust tym ambicjom, czy to będzie powołanie własnej partii, czy to będzie jakiś ogólny patronat nad całym obozem prawicy, czy też jeszcze jakiś pomysł, którego nie jestem w stanie dzisiaj odgadnąć. Ale wyraźnie widać, że on oprócz tego, że chce być po prostu wybrany za cztery lata ponownie prezydentem, co oczywiście było też ambicją Andrzeja Dudy, to chce to robić po to, aby rządzić. Jego weta pokazują, że Nawrocki realnie wziął sobie do serca plan wpływania na rzeczywistość, a nie płynięcia z nurtem rzeki, tak jak to było w przypadku Dudy. On jest bardzo poważnym, twardym, politycznym graczem. I rzeczywiście ma dzisiaj w ręku wszelkie narzędzia polityczne. Mam na myśli to, czym dysponuje prezydent, ale też przymioty charakteru, które mogą go sytuować w czołówce tych, do których będzie należeć przyszłość prawicy.

Myśli pan, że przed wyborami Morawiecki wejdzie z kimś w koalicję?

Im słabsze będą notowania nowej formacji Morawieckiego, tym większe prawdopodobieństwo tego, że będzie szukał koalicjantów. Łącznie z tym, że to się może zakończyć powrotem do PiS-u albo zawarciem koalicji wyborczej z PiS-em. Im bardziej strach będzie zaglądał w oczy działaczom i politykom Rozwoju Plus, tym bardziej będą skłonni szukać jakichś lewarów - a to w postaci PSL-u, być może jakichś resztek po Polsce 2050, być może jeszcze jakieś nowej inicjatywy, która mogłaby powstać. Wykluczam ich sojusz z Konfederacjami, dlatego że po prostu Konfederacje tego nie chcą. Natomiast to może się zakończyć na kilka miesięcy przed wyborami jakimś porozumieniem, usta-

leniem miejsc na listach pomiędzy partią Morawieckiego a partią Kaczyńskiego.

Myśli pan, że Szymon Hołownia na trwałe wróci do polityki?

Na to pytanie nie jestem w stanie odpowiedzieć, bo ono jest bardziej natury psychologicznej niż politologicznej. Ale widać, że tam nastąpiła jakaś refleksja. Hołownia po okresie, kiedy polityka zaczęła go brzydzić - a nawet w jakimś sensie, do czego się przyznawał, niszczyć go psychicznie - próbuje do niej wrócić. Trochę to wygląda nieporadnie, bo trudno traktować poważnie polityka, który zabawił się w politykę przez niecałe trzy lata, po czym uznał, że to jednak nie jest dla niego, po czym znowu po następnych trzech miesiącach chce się w tej polityce sprawdzić. Nie wróżę wielkich szans na odbudowanie notowań Polski 2050. Bez względu na to, czy szefową jest Pełczyńska-Nałęcz czy Hołownia. Po prostu ten projekt polityczny jest martwy. Natomiast, jaka będzie przyszłość Hołowni już osobiście jako polityka, tego nie wiem. On właściwie jest do zaakceptowania zarówno przez środowisko PSL-u, jak i Koalicję Obywatelską. Więc może się znaleźć na listach jakiegos ugrupowania czy jakiejś koalicji. Natomiast nie sądzę, żeby jego środowisko polityczne jeszcze odgrywało jakąkolwiek rolę.

Nie tak dawno Urszula Pasławska, wiceprezesa PSL-u, powiedziała, że ludowcy idą do wyborów sami. Mówiło się, że być może wejdą na listy Koalicji. Myśli pan, że ludowcy mają szansę na przekroczenie progu wyborczego?

Tak. Oni są od trzydziestu lat niedoszacowani w sondażach, a zawsze udaje im się wejść do Sejmu albo samodzielnie, albo z pomocą - tak jak to było w ostatnich dwóch wyborach - innych podmiotów, bo najpierw był Kukiz, a potem środowisko Polska 2050.

A teraz kto?

Teraz może być paradoksalnie to samo, czyli Polska 2050 czy to, co po niej zostanie. To może być oczywiście ugrupowanie Morawieckiego, ale to też może być rzeczywiście samodzielny start. Śledzę z uwagą te deklaracje i coraz bar-

Po stronie koalicji rządowej nie panuje totalna nuda. Pani Pełczyńska-Nałęcz dostarcza coraz więcej emocji w przestrzeni politycznej

MAREK MIGALSKI,
politolog

dziej wydają mi się one nie tylko grą z Donaldem Tuskiem, która ma na celu wynegocjowanie jak najlepszych miejsc dla ludowców na listach Koalicji Obywatelskiej czy w ramach jakiejś koalicji, w której te dwa ugrupowania, czyli Koalicja Obywatelska i PSL, by się znalazły. Ale rzeczywiście, to może być zapowiedź tego, że oni chcą być samodzielnym bytem. To pozwala im na całkowicie swobodny manewr po wyborach. Mówiąc krótko, jeśli szliby do wyborów w sojuszu z Koalicją Obywatelską, to w naturalny sposób musieliby później być wernymi sojusznikami i koalicjantami partii Tuska, bo taka byłaby logika wyborcza i polityczna. Natomiast idąc samodzielnie, mogą się po wyborach otworzyć zarówno na koalicję centrolewicową, czyli Koalicję Obywatelską i Nową Lewicę, ale mogą też być gotowi na zawarcie jakiegos porozumienia w sprawie utworzenia rządu bądź utrzymania mniejszościowego rządu, na przykład PiS-u we współpracy właśnie z Morawieckim. Więc coraz bardziej wierzę w to, że oni rzeczywiście myślą o samodzielnym starcie z jakimiś mniejszymi od siebie formacjami. Byłaby to po prostu lista PSL-u, nie jakiejś nowej koalicji, która potrzebuje ośmiu procent do przekroczenia progu, tylko będzie to PSL z różnymi organizacjami, mniej czy bardziej poważnymi na swoich listach.

Myśli pan, że jest przesądzone, iż prawica przejmie władzę za półtora roku?

Nie. Tutaj wszystko jest jeszcze w grze. Jest absolutnie za wcześnie, aby to wyrokować i jeśli ktokolwiek powie pani dzisiaj „tak” albo „nie”, to po prostu zgaduje.

Co zadecyduje, pana zdaniem, ostatecznie o wyniku tych wyborów i przyszłym rządzie?

Nie wiem, co ostatecznie. Natomiast tak jak zawsze w polityce, zadecydują zarówno interesy, jak i emocje. Czyli mówiąc krótko, będzie w dużej mierze decydować ocena tego rządu po czterech latach rządzenia, tego, czy on będzie w dalszym ciągu na tak źle oceniany, jak jest obecnie, bo mamy praktycznie koło sześćdziesięciu procent krytyków tego rządu, czy też jednak ze strony koalicji rządowej wyjdą jakieś pomysły na to, aby to zaufanie do siebie odbudować. Więc pierwszym czynnikiem byłaby jakość rządzenia obecnej koalicji, tego, czy Polacy będą się czuli po tych czterech latach bezpieczniejsi, bogatsi, bardziej usatysfakcjonowani. Druga rzecz, to kampania wyborcza. W dalszym ciągu jest tak, że kampania wyborcza ma jednak pewien wpływ na to, kto wygrywa, a kto przegrywa wybory. Trzecia rzecz, bardzo istotna, to jest

to, o tym rozmawialiśmy do tej pory, a więc kształt, w jakim zarówno obóz rządzący, jak i opozycyjny pójdzie do wyborów. Jeśli na przykład opozycja pójdzie do nich w czterech blokach, to przepis na przegraną.

Podobnie chyba w przypadku koalicji rządzącej.

Tak. Jeśliby okazało się, że, rzeczywiście, będzie tak, iż do wyborów pójdą osobno KO, osobno PSL, osobno Hołownia, osobno Lewica, to któryś z tych podmiotów nie wejdzie do Sejmu - to oczywiste, a być może nawet dwa się w nim nie znajdą. Jest też kwestia partii Razem, która może zyskać cztery procent poparcia i de facto dać zwycięstwo jednemu bądź drugiemu. Więc to byłby ten trzeci czynnik, czyli ułożenie komitetów wyborczych.

A tematy kampanii?

Jeśli pani mnie pyta o to, jakie tematy mogą być istotne, to jest ich kilka. Po pierwsze - to może być służba zdrowia, chociaż nie przeceniam tego tematu, bo to zbyt skomplikowana materia, żeby Polacy byli w stanie za rok odpowiedzieć, czy to, co zrobi rząd w ciągu tego roku, jest dobre czy złe. To bardzo brutalne, co mówię, ale to zależy bardziej od emocji politycznych niż od realnej oceny bardzo skomplikowanych procesów zmiany systemu ochrony zdrowia. Dalej - to są na pewno kwestie bezpieczeństwa. Pytanie, która ze stron pokaże, że w tych coraz bardziej komplikujących się uwarunkowaniach międzynarodowych jest gwarantem bezpieczeństwa. Przez wiele lat to była raczej prawa strona i PiS. Natomiast Tusk i obecny rząd robi dużo, żeby to zmienić, kwestia SAFE jest tutaj kluczowa. Ekipa Tuska chce pokazać, że to oni są gwarantem bezpieczeństwa zewnętrznego i wewnętrznego. Do tego dochodzi trzeci element, czyli kwestia ukraińska, która będzie jakoś rozgrywana. Ona była prawie nieistotna trzy lata temu, co jest paradoksem, prawda? Bo byliśmy półtora roku po wybuchu wojny, ale ten temat właściwie nie był istotny, dlatego że wszyscy zgadzali się, iż Polacy są wspaniali, pomogliśmy Ukraińcom, mieliśmy sztamę między nami a Ukrainą. I to się, jak już wiemy, całkowicie skończyło. Teraz emocje są właściwie odwrotne. Więc będzie istotne, jak kwestie ukraińskie zostaną rozegrane przez poszczególne partie polityczne. Do tego dojdą jakieś wpadki, korupcje, afery większe i mniejsze, czyli wszystko to, co jest naszą codziennością. To wskazałbym jako czwarty element, który może przekonać wyborców do tego, że jednak strona sceny politycznej jest bardziej uczciwa niż ta druga. Wszystkie te kwestie pojawią się zapewne w narracji kampanijnej.

AUTOREKLAMA

SPORTOWY24

Sport to Wy

sportowy24.pl

DROBNE

Nieruchomości

DOMY - SPRZEDAM

PÓŁ bliźniaka os. Bukowe Koszalin, 511-704-186, 880-000-995.

LOKALE UŻYTKOWE - KUPIĘ

KUPIĘ Twój problem z udziałem w nieruchomości, spadku ! Nie wiesz co robić, nie dogadujesz się z rodziną, współwłaścicielem? Sprzedaj mi swój udział ! 602738759

Handlowe

JUBILERSTWO

SKUP złota i srebra, wszystkie próby, ul. Młyńska 63, K-lin 509-345-577.

Praca

ZATRUDNIĘ

Szukamy cieśli, zbrojarzy do pracy w Niemczech. Praca od zaraz. Niemiecka umowa, darmowe zakwaterowanie. Znajomość j. niemieckiego będzie dużym atutem. Kontakt tel. 693 795 178. Zadzwoń już dziś.

Zdrowie

NEUROLOGIA

SPEC. Neurolog. NFZ. Bez kolejek.

Codziennie. Koszalin, 605-284-364.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1250zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyrzaj.pl 501642492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

ŁĘBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

KUPIE spawarkę, styki 510124729

Rolnicze

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KURY nioski dowóz 600500129

ROZMOWA

Starzenia nie zatrzymasz. Można z nim negocjować

Rozmowa z dr n. med. Małgorzatą Sokół – prodziekanem w Kolegium Medycznym Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie

Marlena Bogdan-Marut

Zacznijmy od dość brutalnie szczerego pytania. Czy istnieje zabieg – chirurgiczny albo niechirurgiczny – który jest w stanie zatrzymać starzenie?

Nie istnieje metoda, która zatrzyma biologiczny proces starzenia. Jest on naturalnym elementem funkcjonowania naszego organizmu. Z wiekiem komórki coraz wolniej się regenerują, a zdolność organizmu do odbudowy tkanek stopniowo maleje. Wynika to między innymi z faktu, że większość komórek somatycznych ma ograniczoną liczbę podziałów, określaną jako limit Hayflicka. Po jej wyczerpaniu komórki przechodzą w stan starzenia komórkowego, czyli senescencji. Przestają się dzielić, ale nadal pozostają aktywne metabolicznie i wpływają na otaczające tkanki. Starzeniu sprzyjają również kumulujące się uszkodzenia DNA, skracanie telomerów oraz szereg innych mechanizmów opisanych przez współczesną biologię. Wszystko to sprawia, że nie jesteśmy w stanie zatrzymać starzenia, możemy natomiast wpływać na jego tempo i ograniczać jego skutki.

Co ciekawe, pierwsze oznaki starzenia pojawiają się znacznie wcześniej, niż większość z nas przypuszcza. Już około 25. roku życia stopniowo spada produkcja kolagenu, elastyny i kwasu hialuronowego. Początkowo nie dostrzegamy tych zmian, jednak z czasem skóra traci jędrność i elastyczność, a jej zdolność do regeneracji wyraźnie się zmniejsza.

Skoro starzenia nie da się zatrzymać, to czy możemy sprawić, żeby przebiegało wolniej?

Tak. Są trzy filary, które mają największe znaczenie. Pierwszy to fotoprotekcja, która jest najskuteczniej-



FOT. BARBARA GALAS

Dr n. med. Małgorzata Sokół jest specjalistką w dziedzinie medycyny estetycznej i kosmetologii regeneracyjnej

szym działaniem przeciwarzeniowym, jakie znamy. Promieniowanie UV odpowiada za istotną część zmian widocznych na skórze, dlatego krem z filtrem SPF powinien być podstawą pielęgnacji przez cały rok. Jednak sam fakt aplikacji nie wystarczy, kluczowa jest odpowiednia porcja, odpowiadająca w przypadku twarzy dwóm liniom kremu wyciśniętym na palec wskazujący i środkowy.

Drugi filar to styl życia. Sen, aktywność fizyczna i dobrze zbilansowana dieta mają ogromny wpływ na tempo starzenia organizmu. Szczególnie ważny jest sen – to właśnie wtedy zachodzą procesy regeneracji i naprawy uszkodzeń komórkowych – 7 godzin dziennie to absolutne minimum dla dorosłego człowieka.

Trzeci filar to indywidualnie dobrana pielęgnacja, zabiegi kosmetyczne i/lub z zakresu medycyny estetycznej. I słowo „indywidualnie” jest tutaj kluczowe. Nie istnieje jeden zabieg, który będzie odpowiedni dla wszystkich. Najlepsze efekty osiągamy wtedy, gdy medycyna estetyczna nie zmienia naszej twarzy, lecz dyskretnie wspiera to, co daje natura. Jej celem nie powinno być stworzenie nowej osoby, ale zachowanie zdrowego, świeżego wyglądu na każdym etapie życia.

Powiedziała pani, że zabiegi zawsze po-

winny być dobierane indywidualnie. Dlaczego?

Bo każdy z nas starzeje się inaczej. U jednych osób pojawiają się przede wszystkim drobne zmarszczki, u innych twarz traci owal, a jeszcze u innych najbardziej widoczne stają się oznaki zmęczenia. Dlatego zabieg, który u jednej osoby przyniesie świetny efekt, u innej może okazać się zupełnie nietrafiony. Wyobraźmy sobie dwie kobiety. Jedna schudła kilkanaście kilogramów i straciła objętość twarzy.

W jej przypadku zabieg wolumetryczny może przywrócić naturalne proporcje. Druga ma grubsza skórę i wyraźnie opadający owal twarzy. Gdy zastosujemy dokładnie ten sam zabieg, twarz może stać się cięższa i mniej harmonijna. Dlatego tak ważna jest konsultacja ze specjalistą. Najpierw trzeba ocenić kondycję skóry i sposób, w jaki się starzeje, a dopiero później dobrać odpowiednią terapię.

Mam wrażenie, że w ostatnich latach bardzo zmieniły się również trendy w medycynie estetycznej.

Zdecydowanie. Jeszcze kilka lat temu dominowała moda na mocne wypełnianie twarzy. Efekt miał być widoczny od razu – wydatne kości policzkowe, wyraźnie zarysowane usta i żuchwa, skóra napięta byleby mocniej. Dziś odchodzi się od takiego podejścia. Wiemy znacznie więcej o tym, jak zachowują się wypełniacze po latach, dlatego coraz większy nacisk kładzie się na naturalność i co za tym idzie istotne ograniczenie dawki. Wiele osób decyduje się nawet na rozpuszczenie preparatów podanych kilka lat wcześniej. Współczesna medycyna estetyczna nie dąży do stworzenia nowej twarzy. Jej zadaniem jest subtelne odświeżenie wyglądu przy zachowaniu na-

turalnych rysów i indywidualnych proporcji.

Czy są zabiegi, które rzeczywiście potrafią wizualnie odjąć kilka lat?

Tak, pod warunkiem że są wykonywane rozsądnie i we właściwym momencie. Dobrym przykładem jest toksyna botulinowa, która bardzo dobrze redukuje zmarszczki mimiczne – na czole, między brwiami czy wokół oczu. Najlepsze efekty daje jednak wtedy, gdy jest elementem profilaktyki, a nie próbą odwrócenia wielu lat zaniedbań. Medycyna estetyczna może znacząco poprawić wygląd, ale nie cofnie biologicznego czasu.

W przestrzeni publicznej często pojawia się określenie „starzeć się z godnością”. Co pani o nim myśli?

Mam z nim pewien problem, bo sugeruje, że korzystanie z metod wspierających wygląd lub jakość skóry mogłoby pozostawać w sprzeczności z godnością, a trudno znaleźć dla takiego założenia racjonalne uzasadnienie. Dbanie o siebie, niezależnie od tego, czy ogranicza się do zdrowego stylu życia i pielęgnacji, czy obejmuje również zabiegi z zakresu medycyny estetycznej, jest indywidualnym wyborem i nie powinno podlegać moralnej ocenie. Każdy ma prawo decydować o swoim wyglądzie i o tym, co sprawia, że czuje się dobrze we własnej skórze.

Czyli najważniejsze to nie próbować zatrzymać czasu za wszelką cenę, ale dobrze przeżyć każdy jego etap.

Dokładnie. Dbajmy o siebie, jeśli tego potrzebujemy, nie oceniamy wyborów innych i pamiętajmy, że atrakcyjność nie kończy się wraz z kolejnymi urodzinami. Często właśnie z wiekiem stajemy się najbardziej autentyczną wersją siebie. ©©

REKLAMA

0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.



Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

HISTORIA

Aleksander Sołżenicyn, Wielka Rosja i sprawa polska

15 sierpnia 1990 r. Michaił Gorbaczow przywrócił pisarzowi radzieckie obywatelstwo. Ale Aleksander Sołżenicyn wrócił z emigracji dopiero cztery lata później. ZSRR już wtedy nie było – a on zobaczył zupełnie inną Rosję

Mariusz Grabowski

Na wygnaniu Sołżenicyn spędził blisko 20 lat. Jego powrót był spektakularny: z Władywostoku specjalnym prywatnym pociągiem – z żoną i ze swoją liczną świtą – jechał 56 dni przez całą Syberię w stronę Moskwy.

Brodaty prorok

Wcześniej, w 1990 r., gdy pierestrojka dobiegała końca i walił się Związek Sowiecki, Sołżenicyn napisał broszurę „Jak odbudować Rosję?”. Wydrukowano jej 35 mln egzemplarzy i była rozdawana w całej Rosji. Żartowano, że pisarz zawarł w niej ekscentryczną receptę na każdy problem, z jakim borykał się wówczas kraj.

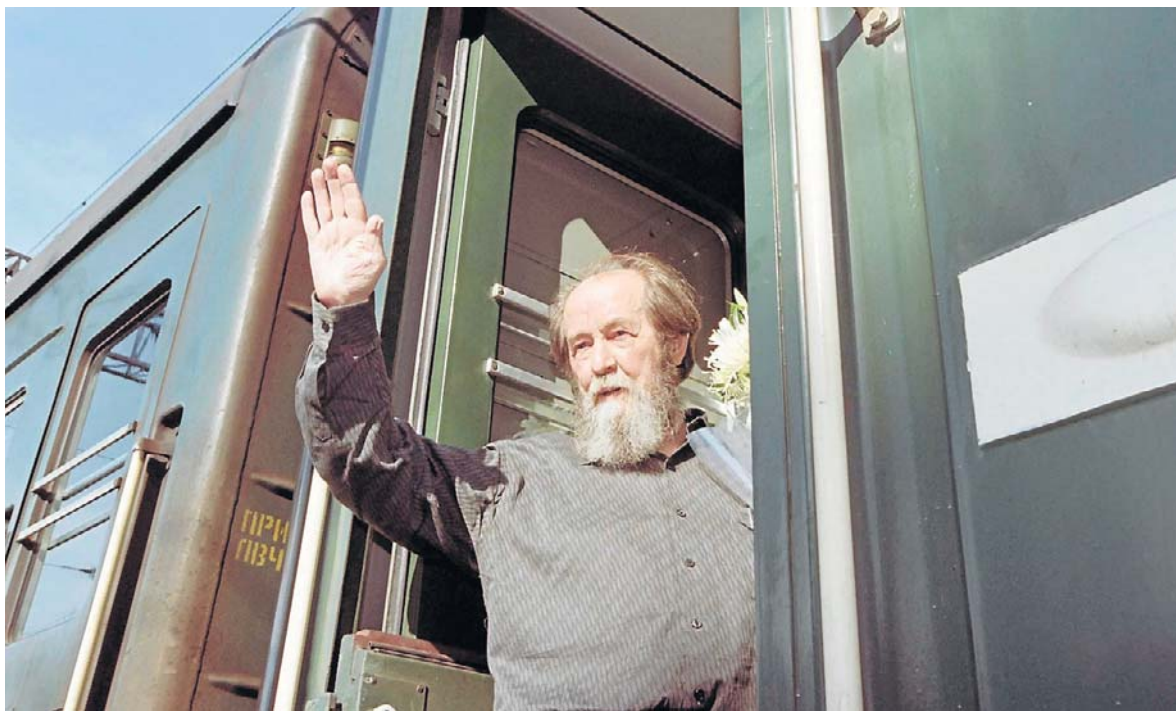
Prezydent Borys Jelcyń podarował autorowi „Archipelagu GUŁag” dachę pod Moskwą, która należała niegdyś do marszałka Michaiła Tuchaczewskiego, zamordowanego podczas wielkiej czystki. Sołżenicyn prezent przyjął, a potem – 28 października 1994 r. – przemówił w Dumie.

W długim wywodzie ostro skrytykował sposób przeprowadzania transformacji ustrojowej i kapitalistycznych reform w Rosji lat 90., wprost obwiniając władze o zubożenie społeczeństwa. Wezwał też do odrodzenia moralnego narodu i skupienia się na organicznej budowie państwa od podstaw, a nie na ślepych naśladowaniach zachodnich wzorców.

„Z wielką przykrością – zgryźliwie pisał Wiktor Suworow, autor „Akwarium” – przyjąłem nacjonalistyczny zwrot, którego dokonał pod koniec życia. Wrażliwy pisarz stał się nagle wielkim rosyjskim szowinistą. A co jeszcze gorsze, sfraternizował się z Putinem i innymi byłymi oficerami KGB. Naprawdę uwierzył, że byli komunistyczni aparatczycy w 1991 r. nagle – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – zamienili się w rosyjskich patriotów”.

Faktycznie, nieprzejdany komunistą po powrocie do Rosji stał się niemalże Wielkorusem. Odbił szereg podróży wzdłuż całego kraju, od Władywostoku aż do Moskwy. Włączył się w życie społeczne i publicystyczne, dając serie odczytów, publikując w prasie i prowadząc własny program telewizyjny.

Ale jego zdecydowane poglądy i moralizowanie spowodowały jednak, że po początkowym uznaniu i pewnym wpływie na rosyjskie elity intelektualne, z czasem tracił



Rok 1994. Wracający z emigracji Aleksander Sołżenicyn wsiada do specjalnego pociągu do Moskwy

popularność. We wrześniu 1995 r. zlikwidowano nawet jego program w państwowej telewizji ORT Ostankino.

Niemniej jego pozycja i autorytet wciąż były silne. W 1997 r. został wybrany na członka Rosyjskiej Akademii Nauk, a 12 czerwca 2007 r., podczas obchodów Dnia Rosji, Sołżenicyn odebrał z rąk Władimira Putina wysokiej rangi odznaczenie państwowe – Państwową Nagrodę Federacji Rosyjskiej, a także pięć mln rubli.

Wśród rosyjskich elit przyjęto to jako symboliczny gest i zbliżenie ideowe między władzą na Kremlu a pisarzem, którego wizja wielkiej, niezależnej Rosji i krytyka zachodniego liberalizmu pasowały do narracji budowanej przez Putina. „Gdy Putin został prezydentem – ponownie oddajmy głos Suworowowi – Sołżenicyn zaprosił go do siebie na herbatę. I zupełnie na poważnie pouczył go, jak należy rządzić Rosją. Putin się uśmiechał, potakiwał, zrobił sobie z Sołżenicynem kilka zdjęć i wyszedł. Wielki pisarz dał mu się wykorzystać propagandowo, a on oczywiście dalej robił swoje”.

Sam Sołżenicyn podkreślał nazi jutrz w ogólnorosyjskim programie telewizyjnym „Wiesti”, że Putin zrobił na nim bardzo dobre wrażenie jako „człowiek żywego umysłu”, „za troskany o losy Rosji, a nie o władzę osobistą”

Charakter rosyjski

Poglądy Sołżenicyna, które głosił po powrocie do ojczyzny, określić można jako „społeczny pesymizm”. Lata 90. i okres chaosu po rozpadzie Związku Radzieckiego to wedle niego moment, gdy ujawniły się „nowe cechy Rosjan urodzonych w ZSRR”. Pokolenie, które utraciło łączność kulturową z przedrewolucyjną Rosją, zbudowało swój światopogląd i kondycję moralną wyłącznie w oparciu o kulturę radziecką i ustrój komunistyczny.

Człowiek „psychicznie zmęczony, duchowo opustoszały – pisał – żyje jedynie, by żyć, a czasem nawet osuwa się do prostej egzystencji. Pozbawiony wyższego celu jest istotą bez moralnego kręgosłupa, zaś jego przyzwitość zasadza się na maksymie: „moralne jest to, co wygodne”.

Daje się także zauważyć u człowieka rosyjskiego inną destrukcyjną cechę – przyzwyczajenie do porażki, „dziwna radość” z niepowodzenia i przeżywanego tragedii. Emblematem tych czasów staje się „zebrzący żołnierz i rodzina bez środków na pogrzeb swoich bliskich”.

Jeszcze surowiej Sołżenicyn diagnozował rosyjską gospodarkę i politykę. Terapia szokowa Jegora Gajdara, jego zdaniem, pozbawiła Rosję możliwości stworzenia klasy średniej. Dzięki reformy rynkowe okradły i oszukały naród, nie uwolniły ekonomicznie wsi i małych przedsiębiorców, za to doprowadziły do niebotycznego

wzbogacenia pojedynczych właścicieli, do niedawna zarządców państwowych przedsiębiorstw.

W opinii pisarza zaowocowało to kolejnym uderzeniem w moralność narodową. Epoka „Nowej Ideologii – ideologii zdobyczy” uaktywniła zachłanność materialną w społeczeństwie, zawiść wobec bogatych, pogardę wobec biednych, urzeczywistniła się zasada „człowiek człowiekowi wilkiem”.

Anna Jawdosiuk-Malek, autorka tekstu „Sołżenicyn o charakterze narodowym Rosjan” pisze wprost, że jego zdaniem odgórna rosyjska rewolucja lat 90. to ostateczny moment „ujawnienia się wielowiekowej rosyjskiej indyferencji społeczno-politycznej”. Niebagatelne znaczenie ma tu zakorzenione w świadomości społecznej przekonanie o grzeszności, nieczystości moralnej i obcości władzy jako takiej, jak również dążenie mas do sprawiedliwości etycznej, a nie jurydycznej.

W rosyjskiej przestrzeni politycznej wedle Sołżenicyna, „nie ma miejsca dla społeczeństwa obywatelskiego. „Rosjanie wierzą w autorytet, oczekują, że charyzmatyczny przywódca podejmie decyzje i pokieruje ich życiem”.

Sporo miejsca w swych wywodach pisarz poświęcił mniejszościom. Wskazywał na bliskość kulturową Słowian wschodnich (głównie Białorusinów i Ukraińców), dopuszczając ich

niepodległość, jeśli taka będzie wola lokalnych ludności, ale z zachowaniem praw mniejszości rosyjskiej. Uważał też, że Rosja nie powinna utrzymywać na siłę nierosyjskich republik w Azji Środkowej, z wyjątkiem północnego Kazachstanu, zamieszkałego przez ludność rosyjskojęzyczną i prawosławną.

Jego stosunek do Żydów był bardziej zniuansowany. Wzajemne relacje Rosjan i Żydów na przestrzeni dwóch wieków przeanalizował w dwutomowym dziele „Dwieście lat razem”, drobiazgowo wyliczając wzajemne krzywdy: błędną politykę caratu wobec Żydów i ich skłonność do radykalizmów wewnątrz imperium, w tym komunizm.

Z kolei postawa Sołżenicyna wobec Polski jest jednym z mniej zbadanych wątków jego myśli, ujawniającym napięcie pomiędzy doświadczeniem wspólnym dla Polaków i Rosjan a rosyjskim spojrzeniem imperialnym. Pisarz niejednokrotnie odwoływał się do losów Polaków w swoich analizach historycznych i politycznych refleksjach, a jednocześnie nie ukrywał wobec nich obawy.

Polak-katolik

W „Archipelagu Gułag” Sołżenicyn pisał o polskich więźniach politycznych z wielkim uznaniem, podkreślając ich godność, poczucie wspólnoty i duchową odporność. W jego oczach Polacy wyróżniali się na tle innych narodowości obozowych, stanowiąc przykład niezłomności i siły kultury. Z respektem odnosił się do katolicyzmu jako fundamentu polskiej tożsamości narodowej i „Solidarności”, widząc w niej autentyczne przebudzenie narodowe.

Jednocześnie jednak traktował polskie dążenia polityczne z dużą rezerwą. We wspomnianej już książce „Jak odbudować Rosję” obecna jest obszerna krytyka tradycji jagiellońskiej, a więc idei Polski jako wielonarodowego państwa, obejmującego litewskie, białoruskie i ukraińskie ziemie. Sołżenicyn uważał, że takie aspiracje historycznie prowadziły do niepotrzebnych konfliktów z Rosją, a w XIX w. jedynie do tragicznych powstań.

W wizji Sołżenicyna dzisiejsza Polska powinna pogodzić się z granicami ustalonymi w 1945 r., uznając swoje prawa do ziem zachodnich, ale bez roszczeń wobec ziem wschodnich.

CZYTELNI

Księżna łowicka przed sądem historii

Pośród postaci pojawiających się na kartach tomu „Polskie zdrajczynie” Sławomira Kopra (m.in. Karolina Sobañska, Róża Luksemburg, Wanda Wasilewska), znalazła się także Joanna Grudzińska, księżna łowicka, morganatyczna żona wielkiego księcia Konstantego. Pojawia się pytanie: czy autor nie zaliczył jej do grona zdrajczyń zbyt pochopnie?

Zarzut, że wydała się za Konstantego, nie wyczerpuje bowiem znamion zdrady. Zwłaszcza że nie wywarła żadnego większego wpływu na życie publiczne w Polsce. Owszem, była przeciwniczką powstania listopadowego, w którym nie dostrzegając aspektów narodowych, ale jedynie rebelię przeciwko rodzinie carskiej, ale to za mało, aby skazywać ją na narodową kondemnatę.

Czyżby Sławomir Koper wciąż pozostawał pod urokiem powieści „Księżna łowicka”, którą w 1908 r. opublikował Wacław Gąsiorowski? A przecież autor tej powieści prawdę historyczną potraktował nader swobodnie, robiąc z Joanny mało kumatą ofiarę polityki.

Podtytuł książki Sławomira Kopra: „Piękne, okrutne i złe”, ma w sobie isticie diaboliczny podtekst. Czy Joanna Grudzińska naprawdę taka okrutna i zła? Zestawienie jej z np. Wandą Wasilewską jest po prostu krzywdzące.



Sławomir Koper, „Polskie zdrajczynie. Piękne, okrutne i złe”, wyd. Fronda, Warszawa 2026, cena 49 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

Filip Chajzer Nie był zadowolony

Kilka miesięcy temu na rynku księgarskim ukazała się książka celebryty o wiele mówiącym tytule „Szczęście na kreskę”. Chajzer chce teraz opublikować jej amerykańską wersję, której przygotowanie zlecił Jo Harperowi. Ten mieszkający w Polsce od wielu lat dziennikarz zamieścił ostatnio na swym blogu wpis, w którym twierdzi, że nie otrzymał zapłaty za przygotowanie próbnego tłumaczenia wstępu do książki. W odpowiedzi Chajzer powiedział Pudelkowi, że to, co dostał od Harpera, nie spełniało jego oczekiwań. – Jakość tego, co otrzymałem, nie była zadowalająca. Nie zaakceptowałem tego. Mam tylko jedną szansę, by wysłać to do wydawcy, więc to musi być dobre. Szukam kogoś, kto zrobi to tak, żebym był z tego dumny – stwierdził.

Anna Lewandowska Ma prywatnego lokaja

Przeprowadzka Lewandowskich za ocean rozpoczęła! Najpierw do Chicago poleciał kapitan polskiej reprezentacji piłkarskiej, a kilka tygodni później dołączyła do niego żona z dziećmi. Lewandowscy zakwaterowali się w prestiżowym hotelu Waldorf Astoria Chicago, zlokalizowanym w eleganckiej dzielnicy Gold Coast. To pięciogwiazdkowy symbol luksusu i szyku w samym sercu Wietrznego Miasta, oferujący gościom m.in. ekskluzywne spa, prywatnych lokajów oraz spektakularne widoki na panoramę miasta. Ceny standardowych pokoi w tym obiekcie zaczynają się od ok. 500-800 dolarów (ok. 2000-3200 zł) za noc. Właścicielem hotelu jest amerykański miliarder Joe Mansueto, do którego należy drużyna Chicago Fire FC, w której będzie grał polski piłkarz.

Antek Królikowski Czeką go walka

Joanna Opozda na początku lipca opublikowała oświadczenie na swym profilu na Instagramie, w którym ujawniła, że sąd orzekł jej rozwód z wyłącznej winy Antka Królikowskiego, a także pozbawił go władzy rodzicielskiej nad ich synem Vincentem. „Dla mnie to nie jest powód do triumfu. To przede wszystkim ogromna ulga i poczucie, że po latach zostałam wysłuchana, a dobro mojego dziecka zostało postawione na pierwszym miejscu” – napisała aktorka. Kiedy kilka dni temu Królikowski pojawił się na ogłoszeniu ramówki Polsatu, Pudelek poprosił go o komentarz do tej sytuacji. – Ten wyrok jest skrajnie niesprawiedliwy. Na pewno tego tak nie zostawię. Przede mną niestety walka. Będzie



FOT. ADAM JANKOWSKI

Po tym jak Robert Lewandowski został piłkarzem Chicago Fire, jego żona Anna układa na nowo domowe życie za oceanem

dużo pracy nad tym wszystkim – zapowiedział.

Rafał Brzozowski Ma bezpłatny laser

Plotkarskie media od dwóch tygodni żyją ślubem piosenkarza. „Fakto wi” jako pierwszemu udało się ustalić, kim jest jego świeżo poślubiona żona. – Znają się już od lat, a połączyła ich wspólna pasja – muzyka i scena. Helena również jest wokalistką i ma na koncie telewizyjne występy, między innymi w programie „Świat się kręci”, jednak nigdy nie zależało jej na byciu gwiazdą ani bohaterką celebryckich portali – zdradza informator gazety. Helena urodziła się we Francji, choć jej rodzice pochodzą z Grodziska Mazowieckiego. Dzięki temu posiada podwójne obywatelstwo. Aktualnie mieszka w Polsce i prowadzi gabinet dermatologiczny w Grodzisku, specjalizując się w zabiegach laserowych. Ukończyła Uniwersytet Medyczny w Warszawie, gdzie zdobyła tytuł magistra fizjoterapii.

Donald Tusk Źle wybrał czas

Powrót serialu „Ranczo” na mały ekran budzi ogromne emocje. Ale chyba nikt nie spodziewał się, że na planie produkcji pojawi się sam... premier. – Myśmy przede wszystkim godzinę wcześniej się dowiedzieli, że on będzie. No i była bardzo miła, krótka wizyta. Bardzo nam miło, że pan premier, jak nam powiedział, oglądał „Ranczo” – powiedział Cezary Żak w rozmowie z Pudelkiem. Niestety: Tusk pojawił się na planie serialu w niefortunnym momencie, kiedy Wirtualna Polska ujawniła, że jedna z polityczek KO przyznała blisko 4,5 mln zł z pożyczek powodzio wych trzem firmom powiązanym z jej otoczeniem. Opozycja skrytykowała szefa rządu za to, że w obliczu głośnego skandalu, jak gdyby nigdy

nic, odwiedził „Ranczo” i żartował sobie z aktorami.

Joanna Krupa Nie ma kontaktu

Nie tak dawno portale plotkarskie rozpiszywały się o rzekomym roman sie modelki i polityka PiS-u Dominika Tarczyńskiego. Dowodem na to miały być zdjęcia pary, publikowane przez nich na Instagramie. Krupa żarliwie zapewniała, pozostaje singielką, ale temat zupełnie nie uciął. Nic dziwnego, że kiedy ostatnio gościła w programie „Portret”, prowadzący zapytał ją o Tarczyńskiego. – Ja w ogóle nie mam z nim kontaktu. Byłam z grupą przyjaciół na kolacji, to co to znaczy? Ja nie krytykuję tego, po jakiej stronie politycznej jest ten człowiek. Ja patrzę, czy ktoś jest dobrym człowiekiem. Czy Tarczyński jest dobrym człowiekiem? Ja go nie znam. Nie mogę powiedzieć, że jest dobrym człowiekiem, bo nie znam go tak blisko – oznajmiła.

Sebastian Fabijański Chce kogoś poznać

Popularny aktor po rozstaniu z Julią Kuczyńską, z którą ma syna Bastka, nie może znaleźć szczęścia w miłości. Nie ukrywa jednak, że chciałby kogoś poznać. W tym celu założył konto na Tinderze. W rozmowie z Kozaczkiem wyjaśnił ten krok. – Stwierdziłem, że jeśli chciałbym poznać kogoś spoza branży, to muszę w taki sposób. Nie ukrywam, że jest mi trudno tak na ulicy chodzić i nawiązywać relacje, ponieważ w wielu wypadkach jest to męczące przez wzgląd na to, że ludzie po prostu podchodzą, chcą zdjęcia, czuję się obserwowany. To nie jest moja paranoja, tylko po prostu stan faktyczny, bo ludzie patrzą, ludzie komentują, oprócz tego paparazzi robią zdjęcia – stwierdził.

Paweł Gzyl

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Działaj odważnie, lecz nie spiesz się. Horoskop dzienny mówi, że czeka Cię miła niespodzianka.

Ryby (19.02 - 20.03)
Spokój pomoże Ci osiągnąć cel. Horoskop na dziś radzi wieczorem znaleźć czas na relaks i bliskość.

Baran (21.03 - 19.04)
Rozmowa otworzy przed Tobą ciekawe możliwości. Horoskop dzienny na piątek radzi zaufać intuicji.

Byk (20.04 - 20.05)
Posłuchaj serca, ale nie ignoruj rozsądku. Horoskop dzienny mówi, że dzień sprzyja rozmowom.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)
Twoja energia przyciągnie uwagę innych. Horoskop na dziś to wskazówka, by wykorzystać ją i zrobić ważny krok naprzód.

Rak (22.06 - 22.07)
Skupienie przyniesie dobre rezultaty. Horoskop dzienny na piątek sugeruje nie przejmować się małymi błędami.

Lew (23.07 - 22.08)
Harmonia wróci do Twoich relacji. Horoskop dzienny radzi podjąć decyzję odkładaną od dawna.

Panna (23.08 - 22.09)
Intuicja podpowie Ci właściwe rozwiązanie. Horoskop na dziś radzi zachować tajemnicę i unikać niepotrzebnych sporów.

Waga (23.09 - 22.10)
Przed Tobą dzień pełen inspiracji. Horoskop dzienny na piątek wróży, że nowy pomysł może stać się początkiem ekscytującej zmiany.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Konsekwencja przyniesie efekty szybciej, niż myślisz. Horoskop dzienny mówi, że wieczorem możesz pozwolić sobie na odpoczynek.

Strzelec (22.11 - 21.12)
Zaskoczysz innych swoją kreatywnością. Horoskop na dziś podpowiada, by nie bać się wyjść poza utarte schematy i działać.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Wrażliwość będzie Twoją siłą. Horoskop dzienny na piątek to wskazówka, by dać sobie przestrzeń na marzenia.

CLOW/NB/-	ANNIADA	PREFN	MORPIS	CCALV	LUM VMIP
-----------	---------	-------	--------	-------	----------

ROZWIĄZANIE: BEZ MARZEN TRUDNO O SZTUKĘ.

LEKKOATLETYKA

Brązowe płotki Kuby Szymańskiego. Brawo.

Po raz drugi w historii mistrzostw Europy Polska bez medalu w „koronnej” konkurencji, czyli w rzucie młotem kobiet. W Birmingham czekają nas jeszcze wielkie emocje, m.in. start zjawiskowej Natalii Bukowieckiej, Marii Andrejczyk i sztafet

Paweł Wiśniewski

Pierwsze trzy dni 27. edycji lekkoatletycznych mistrzostw Europy w Birmingham i trzy medale reprezentacji Polski. Po srebrnych krążkach Ewy Swobody (100 metrów) i Pii Skrzyszowskiej (100 metrów przez płotki), na najniższym stopniu podium stanął Jakub Szymański.

Aktualny halowy mistrz świata (2026, Toruń) i Europy (2025, Apeldoorn) na 60 metrów przez płotki, w końcu wywalczył konkretne trofeum w seniorskiej rywalizacji na otwartym stadionie. W finale biegu na dystansie 110 metrów przez płotki (–0,3 m/sek.), Szymański uzyskał 13,26, a więc czas o ledwie 0,1 sekundy wolniejszy od rekordu Polski (świetna reakcja startowa – 0,146 sekundy). Co ciekawe, na mecie półfinału, który biegł kilkadziesiąt minut wcześniej, również zmierzono mu 13,26...

Na „Alexander Stadium” w Birmingham, szybsi okazali się tylko –



To tylko kwestia czasu, kiedy Jakub Szymański rozprawi się z rekordem Polski w biegu na 110 metrów przez płotki. Trzeba śmigać poniżej 13,25

Szwajcar Jason Joseph (13,12) i Just Kwaou-Mathéy (13,16) z Francji.

To szósty medal reprezentanta Polski w historii biegu na 110 metrów przez płotki na mistrzostwach

Europy – poprzednie to: rok 1974 (Rzym) i srebro Mirosława Wodzyńskiego i brąz Leszka Wodzyńskiego, rok 1978 (Praga) i Jan Pusty ze srebrem oraz kolejne brązy Arturów –

Kohutka (2002, Monachium) i Nogi (2012, Helsinki).

– Wiele osób nie wierzyło w moje możliwości na 110 metrów przez płotki – powiedział po starcie w Birmingham Szymański. – Nawet mi się to zakotwiczyło w głowie. Chcę być na topie i w hali i na stadionie. Pobiegłem tu dwa razy prawie rekord Polski...

Chciała „przypięć”

Po raz drugi w historii mistrzostw Europy Polska bez medalu w rzucie młotem kobiet. Wcześniej taka sytuacja miała miejsce w 1998 roku, w Budapeszcie, kiedy ta konkurencja debiutowała w programie ME, a niespełna 16-letnia Kamila Skolimowska zajęła wówczas 7. miejsce.

Tak, czy inaczej, średnia Polski wciąż jest znakomita, czyli medal na czempionat (dwukrotnie na podium stawały bowiem złota Anita Włodarczyk i brązowa Joanna Fiodorow – 2014, Zurych i 2018, Berlin).

W Birmingham bezapelacyjnie najlepsza była Finka Silja Kosonen, której udało się posłać młot o wadze 4 kg na odległość 76,28 m. Druga była Sara Fantini z Włoch – 74,35 m, a trzecia Norweżka Beatrice Nedberge Llano – 72,88 m.

Najlepszy rzut Anity Włodarczyk z 3. serii to 72,37 m. Przypomnijmy, że w lipcu tego roku, Polka uzyskała w Madrycie 75,01 m, co stanowi rekord świata masters (powyżej 40. roku życia). A poprzednio, ponad 75 metrów, Anita machnęła 4 lata temu...

51 centymetrów między trzecią i czwartą zawodniczką to najmniejsza różnica w historii mistrzostw Europy (poprzednio 62 cm dwa lata temu między Rose Loga z Francji – 72,68 m i... Kosonen 72,06 m).

– Szkoda, bo brąz był dziś w zasięgu – wyjaśniała Włodarczyk. – Rzucałam znacznie lepiej niż w eliminacjach, walczyłam. Chciałam w ostatnich rzutach „przypięć” i nieco się usztywniać. Złoto było poza zasięgiem. ©©

PIŁKA NOŻNA

PSG z Superpucharem. Z pomocą Casha

Jakub Jabłoński

PSG drugi rok z rzędu sięgnęło po Superpuchar Europy. Triumfator Ligi Mistrzów pokonał w Salzburgu tegorocznego zwycięzcę Ligi Europy, czyli Aston Villę, 2:1.

W barwach klubu z Birmingham cały mecz rozegrał podstawowy prawy obrońca reprezentacji Polski Matty Cash, które nie ustrzegł się kosztownego błędu.

Kibice obejrzeni atrakcyjny mecz – stwierdzili komentatorzy Canal+ Sport po końcowym gwizdku somalijskiego sędziego Omara Artana. Arbiter otrzymał do poprowadzenia to prestiżowe spotkanie niejako przy okazji konfliktu na linii FIFA – UEFA. Przypomnijmy, że nie został wpuszczony do USA, gdzie miał sędziować mecze na mundialu. I na mistrzostwach świata w ogóle się nie zaprezentował. UEFA postanowiła zrehabilitować Afrykaninowi stratę, a jednocześnie podkreślić, że dystansuje się od decyzji firmowanych przez środowisko Gianni’ego Infantino w FIFA...

PSG od początku dominowało. Podopieczni Luisa Enrique objęli prowadzenie po trafieniu Chwiczry



Zespół PSG ma ostatnio patent nie tylko na wygrywanie Ligi Mistrzów, ale również na zwycięstwa w meczach o Superpuchar UEFA

Kwaraccheli, ale na przerwę schodzili z remisem. Brian Madjo popisał się piekielnie mocnym strzałem pod poprzeczkę bramki.

W drugiej połowie lepsze wrażenie sprawiał zespół Aston Villi, ale Cash nie zachował się najlepiej. To głównie po błędzie reprezentanta Polski rywale po raz drugi objęli prowadzenie. Désiré Doué wyprowadził PSG na prowadzenie, a sędzia początkowo odgwizdał spalonego. Po konsultacji z VAR okazało się jednak, że Cash złamał linię

obrony i trafienie musiało zostać uznane.

PSG - ASTON VILLA 2:1

Bramki: Kwaracchelia 20, Doué 61 - Madjo 45

PSG: Safonow - Hakimi, Marquinhos, Pacho, Mendes (75. Hernandez) - Neves (75. Ruiz), Vitinha, Zaire-Emery - Aklouche (46. Dembele), Doué (87. Mayulu), Kwaracchelia (88. Beraldo).

Aston Villa: Bizot - Cash, Lindelof, Torres (80. Mings), Maatsen - McGinn (72. Alysson), Gomes (80. Barkley), Kamara (72. Bogarde), Hemmings - Buendia, Madjo (72. Abraham).

Żółte kartki: Torres, Gomes, McGinn.

Widzów: 27 681. **Sędziował:** Artan (Somalia).

PIŁKA NOŻNA

Trybunał Arbitrażowy w Lozannie uznał argumenty Michniewicza

Jakub Jabłoński

Pozostający bez pracy w zawodzie trenera od przeszło 2 lat były selekcjoner reprezentacji Polski Czesław Michniewicz właśnie o sobie przypominał. Wygrał spór przed Trybunałem Arbitrażowym ds. Sportu (CAS). Chodzi o zaległe wypłaty dla jego sztabu za pracę w Arabii Saudyjskiej.

Michniewicz objął saudyjski Abha Club kilka miesięcy po zwolnieniu z reprezentacji Polski, po słodko-gorych dla niego mistrzostwach świata 2022. Wyniki się zgadzały, Biało-Czerwoni wyszli wówczas z grupy po raz pierwszy od 36 lat, ale pozycję szkoleniowca osłabiła afery premiowa oraz krytyka dziennikarzy w sprawie defensywnego stylu gry.

W Arabii Saudyjskiej długo miejsca nie zagrzał, choć sprowadził swojego zaufanego człowieka z kadry, Grzegorza Krychowiaka, który wcześniej reprezentował barwy tamtejszego Al Shabab. Michniewicz został zwolniony po dziewięciu meczach, notując jedną z najgorszych średnich punktowych w karierze. Jego bilans pozostawiał wiele do życzenia - wygrał zaledwie trzy spotkania.



Trener Czesław Michniewicz wygrał spór z byłym pracodawcą

Po niespełna roku przejął marokańskiego giganta, AS FAR Rabat, lecz i tam nie pracował długo. Został zwolniony w październiku 2024 roku. Od tamtej pory ładował baterie i pozostawał poza zawodem, choć nie próżnował. Jak poinformował Michał Banasiak z Polskiego Instytutu Dydplomacji Sportowej, sprawa dotycząca wypłaty należnych mu pieniędzy przez Abha Club została zakończona. Saudyjski klub został zobowiązany do wypłaty zaległych środków byłemu trenerowi oraz trzem członkom jego sztabu - w wysokości około 2,2 miliona złotych.